Wpisano ... I Miejsk... wypożycz... dla ... dn. 22. VII 1947

Cena 15 zł.

KUŹNICA

Rok III Łódź, 22 lipca 1947 r. Nr 29 (98)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Dzięki twierdzeniu, które stanowi fundament materializmu historycznego, i dzięki socjalizmowi naukowemu, marksizm rozwinął i skondensował zaczątki rewolucyjne zawarte w spadku po wielkim Darwinie.

Marcel Prenant

TREŚĆ NUMERU:

STANISŁAW KULCZYŃSKI — **ZAGADNIENIE ORGANIZACJI NAUKI**
ZYGMUNT RADEK — **ŚWIĘTO MORZA W PRUSZKOWIE**
JANINA KULCZYCKA-SALONI — **NIECO INNA PRZEDMOWA DO „LALKI"**
WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW — **JESZCZE RAZ WOKÓŁ SPRAWY POCHODZENIA CZŁOWIEKA**
JULIA HARTWIG — **KRONIKA FRANCUSKA**
STEFAN OTWINOWSKI — **W KRAKOWIE (list dwudziesty trzeci)**
KRONIKA RADZIECKA
WANDA ŻÓŁKIEWSKA — **WSPOMNIENIE O MARII ZAREMBIŃSKIEJ-BRONIEWSKIEJ**
ZYGMUNT RADEK — **„RZEŹ NIEWINIĄTEK" L. PASTERNAKA**
HENRYK UŁASZYN — **TOWARZYSTWO MIŁOSNIKÓW JĘZYKA POLSKIEGO**
ADAM KOTULA — **POWIEŚĆ O ANGLII POWOJENNEJ**
PRZEGLĄD PRASY
NOTY

STANISŁAW KULCZYŃSKI

ZAGADNIENIE ORGANIZACJI NAUKI

ORGANIZACJA pracy, oparta o z góry powzięty i przemyślany plan, możliwa jest tylko wówczas, gdy znany jest cel, który pragniemy osiągnąć i znane są środki i metody prowadzące do jego osiągnięcia.

Gdy znany jest cel, ale niewiadome są środki i metody do jego osiągnięcia prowadzące, planowanie jest niemożliwe. Sukces zależy w tych wypadkach od wolnej gry inicjatywy twórczej.

Wynika stąd, że nie każda praca społecznie pożyteczną da się zorganizować w oparciu o z góry powzięty i przemyślany plan.

Wynika stąd dalej, że współczesne metody planistyczne i stare metody organizacji pracy oparte o zasadę wolnej gry są równo uprawnione i jednakowo konieczne, zaś racjonalna organizacja pracy polega na stosowaniu jednej i drugiej metody w zależności od rodzaju pracy i problemu, z jakim mamy do czynienia.

Trudność organizacji pracy naukowej polega między innymi na tym, że praca ta nie da się w całości podporządkować żadnej z wymienionych metod. Nauka bowiem jest na pewnych swoich odcinkach pracą opartą o gotowe i wypróbowane metody, a zatem pracą podatną dla organizacji w oparciu o sprecyzowany plan. Na innych, nie mniej istotnych odcinkach, nauka jest wolną i niczym nie skrępowaną twórczością zależną wyłącznie od wolnej gry twórczej inicjatywy, niedostępną dla jakiegokolwiek planowania.

Ścisłe rozgraniczenie problematyki naukowej jednego i drugiego typu jest w zasadzie niemożliwe, możliwe jest natomiast rozgraniczenie ich przybliżone. Istnieją mianowicie zagadnienia naukowe dostatecznie rozpracowane teoretycznie i metodycznie podbudowane, których rozwinięcie zależy przede wszystkim od zorganizowania szerokiej i planowej pracy eksperymentalnej. Istnieją obok tego zagadnienia dostatecznie słabo podbudowane teoretycznie i metodycznie, gdzie sukces zależy w pierwszym rzędzie od wolnej gry twórczej inicjatywy.

Wynika stąd, że organizacja nauki winna być elastycznie dwutorowa. Pewne problematyki powinny być organizowane w oparciu o sprecyzowany plan z pozostawieniem pewnej marży dla wolnej inicjatywy, inne powinny być organizowane na zasadzie wolnej gry z dopuszczeniem interwencji planistycznej.

W dawnych znormalizowanych warunkach życia, powyższy dwupodział organizacyjny badań naukowych kształtował się jak następuje:

Praca naukowa, dająca się planować, podejmowana była przez instytuty badawcze pozaakademickie, zaś wolna praca naukowa była udziałem szkół akademickich i ich zakładów naukowych. Podział ten był w zasadzie zdrowy, jakkolwiek w wykonaniu budził pewne zastrzeżenia.

Umiejscowienie wolnej nauki w szkołach akademickich jest ideą w zasadzie słuszną, ponieważ szkoły te mają za zadanie kształcenie badaczy naukowych i nie mogą się wyrzec wolnej nauki, która jest najważniejszym instrumentem tego kształcenia, nie dającym się zastąpić przez naukę planowaną.

Umiejscowienie planowanej pracy naukowej w instytutach badawczych jest słuszne choćby z tego powodu, że pracy tej szkoły akademickie nie są w stanie opanować z uwagi na jej rozległość i na obciążenie własnymi zadaniami.

Zastrzeżenia natomiast budziły i budzą instytuty badawcze zakładane dla problemów niedostatecznie podbudowanych teoretycznie, np. instytuty badania raka. Wydajność ich okazuje się mała. Instytuty takie powinny czekać na pojawienie się ramowych rozwiązań teoretycznych problemu i organizować się dopiero po przełamaniu podstawowych oporów teoretycznych.

Umiejscowienie wolnej nauki w szkołach akademickich budziło zastrzeżenia wówczas, gdy katedra i pracownia dostawała się w ręce jednostek pozbawionych dostatecznej inicjatywy naukowej, w ślad za czym chybiał cel dydaktyczny pracowni naukowej, a siły jej kierownika i podległego mu personelu naukowego ulegały zmarnowaniu, zamiast rozładowywać się w łatwiejszej do wykonania planowej problematyce naukowej.

Wspomniany dwupodział organizacji nauki jak i obydwa sformułowane pod jego adresem zastrzeżenia są dzisiaj nadal aktualne.

Organizacja pracy naukowej w dzisiejszej rzeczywistości polskiej nie może się wyrzec ani pracy planowanej ani wolnej pracy naukowej i musi uwzględnić zarówno istnienie instytutów badawczych jak i zakładów badawczych przy szkolnictwie akademickim. Kalkulacja sił i aktualnych potrzeb nauki polskiej domaga się natomiast głębszych zabiegów reorganizacyjnych i poważnych przesunięć w zakresie kompetencyj pozauczelnianych instytutów badawczych i zakładów akademickich.

Mamy w Polsce 16 szkół, którym przyznano tytuł i prawa szkół akademickich. Szkoły te liczą 1417 katedr wobec 760 przed wojną. Stan liczebny katedr wzrósł zatem prawie dwukrotnie. Pomocnicze siły naukowe liczą dzisiaj około 4600 pozycyj wobec 1490 przed wojną. Oznacza to wzrost trzykrotny. W sumie liczebność ogólna sił naukowych zaangażowanych w szkołach akademickich wzrosła 2,7 razy.

Jeżeli zważymy, że straty personalne wywołane eksterminacyjną działalnością wroga są w zakresie sił naukowych bardzo poważne, że mamy za sobą 6-letni okres, w którym przyrost nowych sił naukowych został zahamowany oraz, że poziom sprawności zawodowej nawet u wyrobionych badaczy uległ skutkiem przeżyć wojennych obniżeniu, dochodzimy do wniosku, 1⁰ że przeciętny poziom naukowy pracowników akademickich uległ bardzo poważnemu obniżeniu, oraz 2⁰ że przez skupienie w szkołach akademickich z górą 6.000 pracowników naukowych teren kraju został bardzo poważnie wyeksploatowany z ludzi zdolnych do naukowej pracy.

Wynika stąd wniosek, że wszelka inicjatywa zmierzająca do organizowania instytutów badawczych i placówek pracy naukowej poza szkołami akademickimi musi napotkać na trudność zasadniczą, wynikającą z braku sił naukowych zdolnych takie placówki badawcze skutecznie obsłużyć.

Szkoły akademickie obsługują dzisiaj około 60,000 studentów, podczas gdy w roku 1939 liczba studentów wynosiła 38,000, a w roku 1935 nawet 48.000.

Znaczy to, że wydajność pracy dydaktycznej szkolnictwa akademickiego spadła w stosunku do przedwojennych czasów dwukrotnie. Przy prawie trzykrotnym pomnożeniu personelu naukowego szkoły akademickie obsługują niespełna 1,5-krotnie zwiększoną liczbę młodzieży.

Myślą przewodnią ciał ustawodawczych, powiększających ramy kadr i etatów naukowych było umożliwienie studiów akademickich szerszym rzeszom młodzieży oraz skierowanie nadmiaru wolnej od zajęć dydaktycznych energii pracowników naukowych w kierunku twórczej naukowej pracy. Myśl była i jest zdrowa, ale nie dała pozytywnego wyniku. Dlaczego?

Przyczyną pierwszą jest dewastacja warsztatów i pracowni szkół wyższych. Z chwilą, gdy nie posiadamy laboratorium zdolnego pomieścić i obsłużyć 100 studentów, a jedynie pracownię zdolną pomieścić i obsłużyć 30 studentów, zmuszeni jesteśmy powtórzyć trzykrotnie nasze zajęcia dydaktyczne, zastępując niedostatki materialnego wyposażenia warsztatów potrojeniem wydatku pracy robotników naukowych. Jeżeli zważymy, że zniszczenia pracowni w Warszawie przekraczają 60 proc., we Wrocławiu zbliżają się do tej cyfry, w Poznaniu dochodzą połowy stanu przedwojennego, a w nowych ośrodkach akademickich warsztaty pracy montowane są z niczego, dochodzimy do wniosku, że rzucona przez Państwo nadwyżka etatów naukowych musi ulegać jeśli nie całkowitej konsumcji, to daleko idącemu wyczerpaniu na zajęcia dydaktyczne, nie dając zamierzonego efektu w dziedzinie pracy naukowej. Nadwyżki energii pracownika naukowego pochłaniane są przez niedostatki w wyposażeniu warsztatów. Stąd wniosek, że uwolnienie poszukiwanej energii naukowej skoncentrowanej w szkolnictwie akademickim, wymaga wkładu inwestycyjnego w warsztaty pracy dydaktycznej.

Istnieje druga przyczyna małej wydajności pracy szkolnictwa akademickiego. Budżet szkolnictwa akademickiego w 3 kwartałach roku ubiegłego wynosił okrągło 650.000.000 zł. Znaczy to, że obsługa jednego studenta w ciągu roku kosztowała 13,500 zł, a przeciętna dzienna okrągło 40 zł. Za cenę tę student otrzymywał kilka godzin wykładów i kilka godzin ćwiczeń dziennie, połączonych ze zużyciem przyrządu. W sumie tej mieszczą się koszta egzaminów, pomocy stypendyjnej studentów i wszystkich objętych budżetem szkół wyższych świadczeń administracyjnych i rzeczowych. Obsługa młodzieży płacona przez Państwo a wykonywana przez szkoły akademickie jest więc tania.

Obsługa ta jest oczywiście droższa niż przed wojną. Analogiczne przeliczenie dla stosunków przedwojennych poucza, że obsługa roczna studenta kosztowała okrągło 1200 zł przedwojennych. Chleb naukowy jest więc dzisiaj okrągło 10 razy droższy niż przed wojną, podczas gdy chleb powszedni jest przeszło 100 razy droższy niż przed wojną. Innymi słowy praca dydaktyczna szkół akademickich — jedyna praca wynagradzana — mierzona ceną chleba jest dzisiaj 10 razy tańsza niż przed wojną. Za tę samą ilość pracy dydaktycznej otrzymują dzisiaj szkoły akademickie 10 razy mniej chleba niż przed wojną.

Nie znaczy to oczywiście, że szkoły akademickie jedzą dzisiaj 10 razy mniej chleba niż przed wojną. Ale znaczy to, że cała nie zużyta na zajęcia dydaktyczne nadwyżka energii skoncentrowana w 1417 katedrach i w 4600 pomocniczych siłach naukowych zamiast rozładowywać się w twórczości naukowej, do której była przeznaczona, rozładowuje się w poszukiwaniu brakującego chleba. Znaczy to dalej, że w szkołach akademickich w kraju istnieje poważny kapitał energii, która rozładowuje się w niezamierzonym kierunku i ulega rozproszeniu. Możnaby się ostatecznie z tym pogodzić, gdyby nie to, że Państwo potrzebuje, a odbudowujące się życie gospodarcze poszukuje gorączkowo towaru, którym jest twórczość i wynalazczość naukowa. Wyrazem tej potrzeby są sumy budżetowe przewyższające budżet szkolnictwa akademickiego, pomieszczone w różnych resortach gospodarczych z przeznaczeniem na instytuty badawcze i badania naukowe. Sumy te ulegają podobnemu rozproszeniu jak energia pracowników naukowych, ponieważ inwestowane są w teren wyjałowiony i wyssany z pracowników naukowych przez rozbudowane szkolnictwo akademickie.

Dochodzimy do wniosku, że rozbudowa szkolnictwa akademickiego, przy niedostatecznych inwestycjach i niedostatecznym budżecie, wywołuje rozpraszanie się energii naukowej zamkniętej w szkołach wyższych — w poszukiwaniu za chlebem, zaś inwestowanie środków budżetowych w instytuty badawcze na terenie wyssanym z badaczy naukowych, jakim jest teren pozaakademicki, wywołuje rozpraszanie się środków materialnych w nieproduktywnym naukowo a więc niezamierzonym kierunku.

W tych warunkach naturalne rozwiązanie trudności polegać może jedynie na skupieniu w jednym łożysku rozpraszającej się w poszukiwaniu za środkami materialnymi energii naukowej i rozpraszających się w poszukiwaniu za badaczem środków materialnych.

Wyłania się idea kooperacji szkolnictwa akademickiego z instytutami badawczymi, ściślej mówiąc — idea oparcia organizacyjnego instytutów badawczych i ich problematyki o szkoły akademickie i ich personel i naodwrót oparcia personelu i warsztatów naukowych szkolnictwa akademickiego o środki materialne instytutów badawczych na zasadzie wspólnego wysiłku w kierunku produkcji naukowej.

Przy dzisiejszym układzie sił i środków szkolnictwo akademickie musi przejąć na siebie część zadań instytutów badawczych pozaakademickich.

Kooperacja, o której mowa, wymaga stworzenia centralnej organizacji nauki i odpowiedniej reorganizacji szkolnictwa akademickiego.

Istota nauczania akademickiego polega na bezpośrednim zetknięciu młodego umysłu z aktywną twórczością naukową. Oddzielenie więc wolnej nauki od nauczania akademickiego jest niemożliwe. W ślad za tym szkolnictwo akademickie w nowej koncepcji staje przed zadaniem potrójnym zaspokojenia aktualnych potrzeb w zakresie dydaktyki, w zakresie wolnej twórczości naukowej i w zakresie planowanej pracy badawczej. Pokonanie tej pracy nie leży w zasadzie poza możliwościami szkolnictwa akademickiego, wymaga jednak nowych form jego organizacji.

Po linii dydaktycznej szkolnictwo akademickie jest w zasadzie dobrze zorganizowane. W katedrach, radach wydziałowych i Senatach ma nauczanie akademickie sprawne i wypróbowane tradycją organa dyspozycyjne i kontrolne.

Po linii naukowej szkolnictwo akademickie nie jest zupełnie zorganizowane. Jego

instytucje w osobowościach rad wydziałowych i Senatów są nastawione na prace organizacyjno dydaktyczne i administracyjne. Praca naukowa jest rzeczą prywatnej inicjatywy profesorów i pracowników naukowych. Kontrola pracy naukowej w zasadzie nie istnieje, albo skupia się nie w organach uczelni, a w pozauczelnianych towarzystwach naukowych, obejmuje tylko część pracowników naukowych i dotyczy jakości pojawiających się prac, a nie całości życia naukowego szkoły. Uczelnie akademickie nie posiadają nawet wyodrębnionego budżetu naukowego, który by pozwalał na planowanie, organizowanie i kontrolowanie badań naukowych, a władzom centralnym zapewniał wpływ i kontrolę nad ich postępem. Budżet naukowy, o ile istnieje, ukryty jest w budżecie dydaktycznym albo zdobywany jest z zewnątrz. Nikt nie wie jakie środki maierialne i personalne idą na badania, jakie na bieżące potrzeby dydaktyczne. Nikt nie wie i nie jest w stanie skontrolować, jaka ich ilość rozprasza się bezużytecznie w postaci magazynowanych po szafach nieczynnych instrumentów naukowych. W obliczu braku budżetu ani szkoła, ani minister nie ma środka kontroli pracy i środka obsługiwania pracy naukowej potrzebną pomocą materialną. W obliczu braku wyodrębnionego budżetu naukowego i dydaktycznego niemożliwe jest planowe i celowe rozłożenie zadań i obowiązków katedr i pracowników naukowych. Istnieją katedry i zespoły asystenckie, które mimo nikłego obciążenia dydaktycznego nie rozwijają wymaganej produkcji naukowej. Istnieją katedry i zespoły asystenckie do tego stopnia przeciążone obowiązkami dydaktycznymi i administracyjnymi, że na pracę naukową nie staje im czasu i energii. Rzeczy te wymagają uprzedniego wyregulowania, jeżeli chcemy w pracę naukową uczelni akademickich wprowadzić element planowości i uczynić je zdolnymi do podjęcia zorganizowanej współpracy z instytutami badawczymi.

Obowiązki dydaktyczne pracownika naukowego w szkolnictwie akademickim kalkulowane są w zasadzie nisko. Resztę czasu przeznacza ustawa na wolną pracę naukową. W praktyce, na tle braku preliminarza prac dydaktycznych, istnieją ogromne asymetrie w obciążeniu dydaktycznym katedr i osób. Nie ma natomiast uzasadnionego powodu, aby katedra o znikomych obowiązkach dydaktycznych, obsługująca np. kilkunastu studentów, korzystała niemal z nieograniczonego prawa do wolnych i niekontrolowanych badań naukowych, a inna katedra z powodu obciążenia dydaktycznego była tego przywileju pozbawiona. Asymetrie, o których mowa, są jedną z przyczyn cofania się działalności naukowej katedr przyrodniczych na plan drugi w porównaniu z katedrami humanistycznymi, korzystającymi z mniejszych obciążeń dydaktycznych i z większej swobody do pracy naukowej.

Sto razy przyjęliśmy zasadę i zgodziliśmy się na nią powszechnie, że każda katedra przejmuje na siebie pewne kwantum planowanych obowiązków dydaktycznych, wykonywanych obowiązkowo obok wolnej pracy naukowej, słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą, aby niedobory w zakresie dydaktycznych obowiązków były uzupełniane obowiązkowymi godzinami zaprelimi-nowanej z góry i zaplanowanej pracy naukowej. Słuszną jest dalej rzeczą, aby w obliczu rozbudowy personalnej szkolnictwa akademickiego i konieczności przejęcia przez to szkolnictwo części obowiązków instytutów badawczych, pracownicy naukowi szkół akademickich obciążeni zostali, niezależnie od swych obowiązków dydaktycznych, pewną ilością godzin pracy nad zaplanowanymi zagadnieniami naukowymi.

Suma zajęć dydaktycznych i zaplanowanych zajęć naukowych nie powinna przekraczać pewnej granicy górnej i winna pozostawiać luz na wolną pracę badawczą. Luz ten powinien być większy u pracowników akademickich, mniejszy u pracowników instytutów badawczych.

Suma zaplanowanych zajęć dydaktycznych i naukowych powinna pracownikowi zapewniać pełną egzystencję. Pozostałe godziny pracy powinny być poświęcone — zależnie od woli pracownika naukowego — albo na dalszą planową pracę naukową lub dydaktyczną — albo na wolną pracę badawczą.

Ponadkontyngentowa praca planowana powinna być płatna proporcjonalnie do ilości godzin i uznanej wagi problemu — z budżetu. Wolna praca naukowa powinna być prowadzona na ryzyko badacza i płatna z dołu za sukces.

Wprowadzenie w życie tych zasad wymaga stworzenia ośrodków planujących badania naukowe i organizujących je.

Planowanie badań naukowych powinno iść równocześnie od strony życia i jego potrzeb oraz od strony nauki i jej potrzeb własnych.

Planowanie badań naukowych pod kątem widzenia potrzeb życiowych nie może być bezpośrednio powierzone czynnikom gospodarczo administracyjnym. Wynika to stąd, że problem dyktowany przez życie, o ile ma być wzięty na warsztat pracy naukowej z widokami powodzenia, musi być uprzednio sformułowany w kategoriach naukowych przez świadomego współczesnych metod badacza.

Jest rzeczą naturalną, ażeby formułowanie tej problematyki wzięły na siebie instytuty badawcze, stojące w bezpośrednim kontakcie z odpowiednimi resortami gospodarstwa narodowego, przemysłu, rolnictwa, wojska itd.

Instytuty badawcze byłyby zatym powołane do rozpracowywania tej problematyki i do załatwiania jej częściowo we własnym zakresie, częściowo do przekazania jej pracowniom naukowym szkół wyższych. Niezależnie od tego problematyka życiowa nawet w swojej niedojrzałej naukowo formie powinna być propagowana drogą publicystyczną wśród wolnopracujących badaczy naukowych, a to z uwagi na możliwość osiągnięcia sukcesu na drogach i w oparciu o metody a priori nie dające się przewidzieć.

Inicjatywa w kierunku planowania badań naukowych dyktowanych interesem samej nauki winna należeć do szkół akademickich. Do szkół akademickich winna także należeć kontrola wolnej pracy naukowej a także — przynajmniej w pierwszej instancji — kontrola planowanej pracy naukowej.

Dla umożliwienia szkolnictwu akademickiemu wykonywania zadań organizacji nauki i kontroli badań naukowych potrzebne jest zorganizowanie tego szkolnictwa po linii nauki i jej potrzeb. Organizację tę możnaby pomyśleć następująco:

Katedry reprezentujące pokrewne dziedziny wiedzy, a należące do jednej szkoły powinny być łączone w instytuty. Instytut taki — zachowując pełną suwerenność katedr w zakresie dydaktyki — tworzyłby nadrzędną nad katedrą organizację naukową. Mógłby rozporządzać wspólnymi częściowo środkami naukowymi, instrumentalnymi i bibliotecznymi, co obniżyłoby koszty organizacji poszczególnych katedr.. Na czele instytutu stałby wybierany z grona profesorów i docentów kierownik działający w oparciu o Radę naukową instytutu, złożoną z kierowników katedr i docentów. Rada miałaby za zadanie planowanie pracy badawczej w oparciu o inicjatywę katedr i inicjatywę płynącą z zewnątrz, organizowanie w razie potrzeby zbiorowych prac badawczych, ustalanie preliminarzy budżetowych katedr w zakresie rzeczowych i personalnych potrzeb nauki, przedkładanie Akademickiej Radzie Naukowej sprawozdania z rocznej działalności instytutu w zakresie planowanej pracy naukowej i notowanie sukcesów i osiągnięć wolnej inicjatywy naukowej. W wypadkach szczególnych instytut mógłby obejmować na podstawie dobrowolnego zobowiązania pełną rolę i obowiązki odpowiedniego instytutu badawczego pozaakademickiego.

Kierownicy instytutów powinniby być związani z Akademicką Radą Naukową pod przewodnictwem osobnego naukowego prorektora. Akademicka Rada Naukowa mogłaby pracować w dwu sekcjach humanistyczno - prawnej i przyrodniczo - technicznej. W skład jej powinni wchodzić obok kierowników akademickich instytutów także kierownicy miejscowych pozaakademickich instytutów badawczych, a w wypadku ich braku przedstawiciele instytucji społeczno-gospodarczych, zainteresowani w pracach badawczych szkoły — z głosem doradczym. Zadaniem Akademickiej Rady Naukowej byłoby inspirowanie instytutom problematyki naukowej, wynikającej z aktualnych potrzeb społeczno - gospodarczych i naukowych, organizowanie w razie potrzeby badań zbiorowych wymagających współdziałania między instytutami, zatwierdzanie rocznych programów i rocznych sprawozdań oraz rocznych preliminarzy budżetowych instytutów akademickich w zakresie potrzeb nauki, przedkładanie sprawozdań z działalności naukowej, programów naukowych i całokształtu budżetu naukowego szkoły — Głównej Radzie Nauki.

Rady naukowe instytutów i Akademickie Rady Naukowe pomyślane być powinny jako władze równoległe do Rad wydziałowych i Senatów przy następującym podziale kompetencji. Rady wydziałowe i Senaty są kompetentne w zakresie dydaktycznym i administracyjnym szkoły, Rady naukowe instytutów i Akademickie Rady Naukowe są kompetentne w sprawach nauki i naukowego budżetu szkoły.

Jako centralna nadbudowa Akademickich Rad Naukowych i pozaakademickich instytutów badawczych powstać powinna Główna Rada Nauki, złożona z przewodniczących Akademickich Rad Naukowych i kierowników instytutów badawczych pozaakademickich. Główna Rada Nauki ustalałaby budżet naukowy szkół wyższych i pozaakademickich instytutów badawczych, aprobowałaby ich programy badawcze, inspirowała problemy i zadania, które należy wykonać, koordynowała pracę instytutów badawczych pozaszkolnych i akademickich, jednym słowem spełniałaby w stosunku do Akademickich Rad Naukowych i instytutów badawczych pozaakademickich rolę podobną, jaką Akademicka Rada Naukowa spełnia wobec Rad instytutowych. Byłaby ona organem rządzącym całym programem nauki a zarazem organem doradczym premiera, ministra oświaty albo ministra nauki w sprawach nauki i jej budżetu. Główna Rada Nauki działaćby powinna w oparciu o departament nauki przy Prezydium Rady Ministrów lub przy Ministrze Oświaty lub w oparciu o Ministerium Nauki.

Doniosłość stworzenia niezależnej organizacji nauki i rozbudowania tej organizacji aż do właściwych komórek produkcyjnych, jakimi są katedry i zakłady naukowe, wydaje się bezsporna. Bez takiej organizacji niepodobna będzie wycisnąć z naukowych placówek badawczych potrzebnej energii naukowej i nadać jej właściwy kierunek. Zacieśnienie kontroli nad działalnością naukową zakładów i wprowadzenie elementu planistycznego w ich produkcję powinnoby przyspieszyć ewolucję nauki w kraju. Szkodliwe następstwa zacieśnienia organizacji mogłyby wystąpić tylko wówczas, gdyby proponowane Rady naukowe — zatraciwszy wyczucie dla subtelności organizacyjnych, jakich nauka wymaga — zwichnęły równowagę w stosowaniu metod planistycznych i metod wolnej gry w stosunku do badań naukowych.

Suwerenność nauki i nieskrępowane prawo badacza do wolnej inicjatywy muszą być uszanowane. Wolna praca naukowa i wolna naukowa inicjatywa nie może być pozbawiona opieki na rzecz pracy planowanej i na rzecz jej wyłączności. Wolna nauka nie może być także pozbawiona pewnych dobrodziejstw organizacji. Jako zjawisko niedostępne dla deterministyczno - planistycznych metod organizacji obliczonych na pewność sukcesu, wolna nauka jest jednakże dostępna pewnym indeterministycznym metodom i chwytom organizacyjnym obliczonym na prawdopodobieństwo sukcesu. Są do pomyślenia chwyty organizacyjne zwiększające prawdopodobieństwo sukcesu, jak pomoc materialna, nagroda za sukces, propaganda problematyki, ułatwienia kontaktu z myślą naukową światową. Są też do pomyślenia chwyty organizacyjne polegające na usuwaniu przeszkód zmniejszających prawdopodobieństwo sukcesu, jak usuwanie nieproduktywnych jednostek i przesuwanie ich na tor planowanej nauki, jak usuwanie przeszkód hamujących publicystykę naukową i ograniczeń krępujących wolną dyskusję naukową.

Bardzo wiele można zdziałać w tej dziedzinie przez organizację zainteresowania sukcesem naukowym i materialnego jego poparcia, ale nie pod kątem widzenia jego życiowej użyteczności, lecz pod kątem widzenia jego zręczności. Wolna nauka teoretyczna jest producentką syntez i opartych o nie metod badawczych, a zatem producentką podstawowego instrumentu działania nauki planowanej. Wolna nauka teoretyczna ma pewne podobieństwo do sportu, tak jak nauka planowana wykazuje podobieństwo do pracy produkcyjnej. Sukces nauki teoretycznej jest podobnie jak sukces sportowy bezpośrednio bezużyteczny życiowo ale jest równoznaczny ze stworzeniem metody prowadzącej do sukcesu życiowego. Wolnej nauki nie możemy się wyrzec dlatego, że nie może się jej wyrzec nauka planowana, z niej czerpiąca swą sprawność i nowe środki działania. Wolna nauka wymaga sportowych metod organizacji i podobnie jak sport wymaga pielęgnacji. Nie możemy pozwolić jej zdegenerować przez planistyczne i utylitarystyczne uzawodowienie. Wolna nauka stwarza atmosferę naukową, która rodzi i pomnaża sukcesy naukowe. Brak jej powoduje wyjałowienie twórczości naukowej a w następstwie załamanie także planowanej nauki organizowanej w interesie aktualnych życiowych potrzeb.

Stanisław Kulczyński

ZYGMUNT RADEK

ŚWIĘTO MORZA W PRUSZKOWIE

Szare domy prowincji, poezjo brzydoty...
Od poniedziałku fabryki dymią do soboty.
W owalnych oknach lokomotyw,
W zieleni szkieł wojskowi stoją kolejarze.
Apasz pod murem toczy ruletkę, gra w durnia.
Skład trąb blaszanych, obok ołówków wytwórnia.
Gwiżdże. Drewniana buda sterczy na bazarze.
Kołowrót dni tygodnia — to sprzedają kalendarze.
Zamknięto sklepy cyny, żelaztwa i gwoździ
Gdzie można było kupić stary piecyk z rurą.
W cieniu kasztanów nowe robią znajomości
Kupcy, dziewczyny. Wieczór rzuca urok.
Na łąkach piąsy: w bladych sukniach lalek
Dziewczątka plotą wkoło rąk korale.
Siwiutki żebrak ślepiec oraz koń pocztowy
Są dziećmi wróżki. Koń gubi podkowy.
Prezes fabryki „Kogut" obżarł się porzeczek,
Pękł jak rakieta; w górę wytrysnął wodotrysk.
Oto iluminacja: szkarłat, sycząca fontanna.
Ponad ogrodem deszcz zielonych kropel.
To imieniny morza — szykujcie prezenty.
Płacz muzyko... i aktor żegnał instrumenty.
Pomalowani kredą sprzedawcy stąpali
Lodów i zamrażano akwarele.
Okręty papierowe na jeziora fali
Płyną. Noc sztucznym ogniem oświetli topiele.
Wzwyż, nad listki jesionów słońce barwne plamy
Ukazuje. Tłum gapi się łykając ślinę.
Gdzież podzieliście godło hrabiny u bramy
Pałacu? Piękne pióra zgubiły hrabinę. —
A wszystkie drzewa liliowe są pod wieczór
Hiszpańskie kapelusze noszą liliputy.
W szpitalu niedalekim — gdzie melancholię leczą —
Smutne światło zapala się w boże zmierzchanie,
Sonata, dźwięk komarów, niewesołe nuty,
Okno otwarte, stara panna gra na fortepianie.
Ogród zbladł, białe twarze. Żałobni indianie.
W głębi parku jest zamek. Murowany dworzec
Z wieżyczką wieńczą dziecinne postacie.
Zawieszono chorągiew flagę i proporzec.
Zdejm kapelusz, przemawiać trzeba mój prałacie!
Cyrulik wpadł do wody, pantalony zmienia.
Oto już widać morze w najśmielszych marzeniach...
Dzieci fabryk, ludziska — oto morze płynie:
Ryby, rozgwiazdy można zobaczyć w Pruszkowie!
Dwaj kaprale i dobosz wypili w kantynie
Sporo. Butelki stawiają na głowie.
Wapienną muszlę kapral przystawia do ucha.
W środku spirali morze niby gołąb grucha.
Nie drwijcie z niego, nic to, że mizerna postać;
Gdyby miał kompas mógłby admirałem zostać.

JANINA KULCZYCKA-SALONI

NIECO INNA PRZEDMOWA DO „LALKI" (I)

JAKO wielka miłośniczka Bolesława Prusa, śledząca z najwyższym zainteresowaniem dzieje jego pośmiertnej sławy przeczytałam artykuł Jana Kotta z prawdziwą przyjemnością. Widzę w nim bowiem pierwszy ważniejszy przejaw zajęcia się Prusem ze strony publicysty, krytyka literackiego, usiłującego skonstruować uzasadnienie dla ogromnego znaczenia Prusa, które zdobył on wbrew chłodnemu i pełnemu rezerwy stanowisku urzędowej opinii literackiej. Zainteresowanie „Lalką", która nb. pierwsza z polskich powieści doczekała się monograficznego opracowania naukowego, a teraz pierwsza została włączona w próbę nowej konstrukcji naszych dziejów literackich, zinterpretowana w myśl nowych założeń, świadczy o rosnącej sile oddziaływania Prusa, o tym, że wielki „szarak" naszej literatury zaczyna nabierać barw, które mogą znęcić nawet ruchliwych krytyków i literatów.

Dotychczasowe wypowiedzi literatów sensu stricto (patrz jubileuszowy numer „Wiadomości Literackich") tchnęły oficjalnym, urzędowym stosunkiem do wielkości uznanej, której nie miało się ochoty ani atakować na serio, ani wielbić ze zbyt gorącym entuzjazmem. W artykule Kotta natomiast doszło do głosu ustosunkowanie się nowe, czynne, bezpośrednie, Prus pokazany został jako pisarz żywy i pasjonujący, pisarz wywołujący zarówno szczere uwielbienie, jak gorący protest, pisarz, obok którego nie można przejść obojętnie. Autor z pasją i wdziękiem pokazuje czytelnikowi, nawet najbardziej z „Lalką" zżytemu, że czytelnik ten przyjmował ją w sposób szablonowy, że utarty sposób pojmowania zjawisk literackich, sądy bezkrytycznie powtarzane uczyniły go niewrażliwym na wartości powieści najbardziej istotne i oryginalne.

To nowe spojrzenie na „Lalkę" uwarunkowane jest przyjęciem nowych założeń, nowego sposobu traktowania zjawisk literackich, niestosowanego dotąd, przynajmniej w takim stopniu, do literatury polskiej, dlatego też przyjęcie tej nowej interpretacji musiało by być poprzedzone przyjęciem tych właśnie założeń i zgodzeniem na włączenie „Lalki" w taki właśnie kompleks faktów gospodarczych i kulturalnych, jakie Kott przedstawił.

Konstrukcja, którą Kott dał w swoim artykule składa się z trzech elementów: 1. ogólnej koncepcji kultury, pojętej jako funkcja przemian gospodarczych, 2. koncepcji t. zw. pozytywizmu, opartej na tych zasadniczych przesłankach, 3. z nowej interpretacji „Lalki". Ponieważ muszę podpisać swą całkowitą solidarność z naszymi historykami literatury, którzy zdumiewają Kotta „naiwnością w sprawach gospodarczych", pozostawiam ocenę pierwszego składnika tej konstrukcji specjalistom tej dziedziny tj. ekonomistom, socjologom itp. Swoje zaś zadanie, miłośniczki Prusa, uważam za spełnione, a możliwości za wyczerpane, jeśli w sprawie drugiej i trzeciej wysunę swoje zastrzeżenia i kontrpropozycje.

Zacznę więc od powtórzenia tego, co pisze Kott, że z naszego dorobku naukowo-literackiego naprawdę nie można się dowiedzieć, co to był pozytywizm. Potoczne definicje podręcznikowe uznające przewagę intelektu nad uczuciem jako specificum pozytywizmu, podczas gdy romantyzm jest dyktaturą serca, nie są do przyjęcia nie tylko w poważniejszej dyskusji, ale nawet w solidnie pojętym nauczaniu. Uznanie rozumu i uczucia jako wieczystych, absolutnych cech ludzkiej duszy, które kolejno w dziejowym kontredansie dochodzą do władzy i kształtują różne typy człowieka, nie może być podstawą charakterystyki czy opisu okresów, kierunków myśli ludzkiej. Stąd też żałosnym nieporozumieniem są przy tych założeniach dyskusje na temat, czy Prus był pozytywistą, czy romantykiem, czy stwierdzania, że na dobrą sprawę nie mieliśmy rasowego przedstawiciela pozytywizmu.

Nie mamy więc nawet próby zdefiniowania tego etapu naszej kultury Najwięcej może zrobiono w zakresie określenia jego społecznej genealogii. O tym, że był on wyrazem poglądu liberalnego mieszczaństwa, pisali już jego współcześni wrogowie[1]), lub też nie wiele młodsi sympatycy dostrzegający w nim protoplastę narodowej demokracji[2]). Lit'eraturnaja encykłopiedia powiązała go nawet ze zjawiskami życia gospodarczego, uznając go za wyraz pierwszego etapu kapitalizmu w Polsce.

Natomiast niewiele zrobiono, aby go scharakteryzować jako światopogląd lub przynajmniej jako próbę skonstruowania takiego światoglądu, nie określono go dokładnie jako programu społecznego, jako czynnika, kształtującego literaturę. Nie wydaje mi się bowiem, aby obiegowe zdanie (pochodzące zdaje się ze świetnej zresztą książki Aurelego Drogoszewskiego p. t. „Pozytywizm polski"), o tym, że pozytywizm na gruncie zachodnio-europejskim był kierunkiem filozoficznym, na gruncie polskim zaś tylko programem praktyki społecznej, dało się obronić jako bezsporne, jeśli się weźmie pod uwagę całokształt działalności tzw. pozytywistów.

Dlatego też każdy, kto zechce zająć się okresem 1863 — 1890, wkroczy do puszczy dziewiczej spraw niezbadanych, nieprzejrzanego bogactwa materiału i nieustalonych terminów.

Wobec tego pierwszą sprawą będzie troska o samo znaczenie wyrazu, o to, czy zawsze i dla wszystkich znaczył on to samo.

Nasza podręcznikowa praktyka szczególnie nowsza i mniej odpowiedzialna określa terminem pozytywizm okres między rokiem 1863 — 1890, zapominając o zastrzeżeniu używanym dawniej, kiedy to mówiono o t. zw. pozytywizmie warszawskim czy t. zw. pozytywiźmie krakowskim.

Okres ten jest bardzo niejednolity i zróżnicowany, zawarty zaś między dwoma okresami, przynajmniej pozornie do siebie podobnymi, dwoma okresami romantycznymi, które cechuje w dziedzinie form literackich przewaga poezji nad prozą, fantastyki i symboliki nad realizmem, w postawie pisarza zaś przewaga poczucia indywidualnych praw ponad poczuciem społecznych obowiązków.

Przy tym charakterystycznym obliczu dwóch kierunków mamy coś, jakiś okres pośredni, który romantyczny nie jest. Wrzucamy więc do tego „pozytywistycznego" worka wszystko, co wyprodukowała nasza literatura w okresie 1863 — 1890, a co pozostawało w opozycji do tendencji romantyzmu, lub też w opozycji do czego pozostawali protagoniści neoromantyzmu. Mamy więc taką negatywną definicję pozytywizmu, która może wystarczyć na użytek dydaktyczno-podręcznikowy, której nie można nawet odmówić pewnych praktycznych zalet, ale która nie jest dostateczna, jeśli mamy do spraw i ludzi podejść nieco bliżej i nieco szczegółowiej im się przyjrzeć.

Przede wszystkim uświadomić trzeba, którzy pisarze uważali siebie za pozytywistów i którzy za pozytywistów uważani byli. Chmielowski, zlekceważony przez Kotta jako źródło informacji o okresie, wymienia jako współpracowników „Przeglądu Tygodniowego" Al. Świętochowskiego, Karola Świdzińskiego, Juliana Ochorowicza, jako współpracowników „Niwy" Elizę Orzeszkową, Michała Bobrzyńskiego, Henryka Elzenberga, A. A. Kryńskiego, A. G. Bema.

Jeske Choiński ,któremu zawdzięczamy bardzo interesujący, choć bynajmniej nie bezstronny obraz epoki, za rzeczników pozytywizmu w powieści uważa Michała Bałuckiego i Elizę Orzeszkową. Ich stanowisko literackie charakteryzuje jako uznanie użyteczności społecznej za zasadnicze zadanie literatury. O Orzeszkowej pisał, że w jej twórczości „odbiła się z wiernością fotograficzną cała epoka wstępnego krytycyzmu, począwszy od zachwytu dla dobrobytu i wiedzy, aż do pierwszego zwątpienia. Wcieliła ona kolejno wszystkie marzenia pozytywistów, rozebrała wszystkie ich „kwestie" po szczególe, płynąc równo z czasem"[1]). Obok tych dwóch naczelnych przedstawicieli pozytywizmu w literaturze wymienia jeszcze Dygasińskiego i Świętochowskiego. Prusa natomiast zalicza do pisarzy którzy „ulegali wpływowi epoki pozytywnej"[2]). Podobnie za „najwiekszego pozytywistę" w powieści uważał Bałuckiego Chmielowski.

Jeśli teraz zestawimy dane chronologiczne, także otrzymamy ciekawe wyniki: Chmielowski, który w różnych okresach różnie tę sprawę ujmuje, uważ za okres największego wybujania pozytywizmu rok 1872 — 73, czyli rok, w którym Prus dopiero rozpoczyna pisać. Natomiast rok 1876, w którym to Ochorowicz porzuca redaktorstwo „Niwy", uznaje za przełomowy, w pewnym sensie klęskowy, dla pozytywistów.

W książce p. t. „Zarys najnowszej literatury polskiej" wypowiada pogląd, że po r. 1874 nastąpił moment stagnacji, rezygnacji z gorętszej, żywszej walki, marazmu, który dostrzegał i nad którym bolał już sam Ochorowicz. W historii literatury zaś ujmuje sprawę inaczej, dzieli mianowicie dzieje pozytywizmu na dwa okresy:

lata 1864—1874, które określa jako lata walki pozytywistów ze zwolennikami dawnych poglądów oraz lata 1875 — 1890, które uznaje za okres pogłębienia przez pozytywistów głoszonych poglądów społecznych oraz dążenia do ich urzeczywistnienia.

Zgodnie więc z informacjami bojownika i historyka ruchu, zwanego pozytywizmem, t. j. Chmielowskiego oraz jego antagonisty Jeske-Choińskiego zacieśnijmy pojęcie pozytywizmu do grupy skupionej koło dwóch czasopism: „Przeglądu Tygodniowego" i „Niwy", a wtedy jasna i zrozumiała się stanie wspólna wszystkim historykom pozytywizmu opinia o jego krótkotrwałości, której przyczyny rozmaicie się wyjaśniają.

I tak np. Jeske-Choiński pisze z triumfem: „pozytywizm nie wystarczył nawet dla jednego pokolenia. Jego wychowawcy i główni zwolennicy znajdują się dopiero w pełni sił męskich, a odstąpili już swego mistrza, niepewni, w którą teraz zwrócić się stronę. Niezmiernie szybko zestarzał się ten kierunek, kończąc swoją działalność złodziejczym pesymizmem"[1]).

Z nowszych pisarzy Fik[2]) uważa, że pozytywizm był doktryną społeczną mało atrakcyjną przede wszystkim skutkiem tego, że brakowało mu całkowicie heroizmu i ambicji.

Artykuł Kotta zaś przynosi nowe naświetlenie tej sprawy; widzi on przyczynę krótkotrwałości pozytywizmu w słabości jego bazy społecznej. „Za ideologami postępu cywilizacyjnego na Zachodzie, za jego myślicielami i pisarzami stało dojrzałe w walkach klasowych mieszczaństwo, zaprawione do władzy, rządzące państwami, mieszczaństwo, które przeprowadziło rewolucję techniczno-przemysłową. Kto stał za garstką entuzjastów „machin i skalpelu", skupioną dokoła paru tygodników warszawskich? — Parotysięczna rzesza inteligentów, rozbitków z dworu szlacheckiego".

Zauważymy także, że obok tej grupy istniały inne, pozostające z nią w otwartej walce. W tej nowej konstelacji Prus, który w utartej opinii reprezentuje najlepiej ideały pozytywne, straci swoje naczelne pierwoidące miejsce w historii ruchu i znajdzie się co najwyżej na jego marginesie.

I to miejsce wyznaczyli mu współcześni, dostrzegający, jak cichy i zapoznany felietonista wyrasta ponad głowy uznanych za gwiazdy pierwszej wielkości koryfeuszy ruchu. I tak w związku z objęciem przez Prusa redakcji „Nowin" Chmielowski pisał: „Prus był wielbicielem nauki nowożytnej, liczył się zawsze do postępowców, ale do stronnictwa postępowego, do t. zw. „młodej prasy" nigdy właściwie nie należał, lubo w jej wydawnictwach dość czynny brał udział[3])". Aleksander Świętochowski[4]) wspomina, że „w obozie pozytywistów był raczej ciekawym gościem, niż bojownikiem". Wreszcie Ludwik Popławski uważa, że najtrudniejszym i najciekawszym zadaniem przyszłego biografa Prusa będzie zbadanie przyczyn, dla których pozostał on na uboczu, z dala od toczącej się namiętnej walki, dlaczego nie przylgnął do swych towarzyszy, dlaczego „pomimo wielkiego talentu, który widnieje nawet w pierwszych jego ramotach humorystycznych mniej był znanym i uznanym, aniżeli pierwszy lepszy publicysta lub krytyk „pozytywny", wymłacający dotychczas resztki chudego ziarna z marnego pokłosia swej młodzieńczej sławy".

Tę postawę pisarza, stojącego z dala od całej walki starej i młodej prasy, zajął świadomie, uważał całą polemiczną wrzawę za nudną i bezpłodną. Już w r. 1874 pisał:

> „Znudziła nas już długa i bezpłodna walka dwu rzekomych obozów, postanowiliśmy więc odtąd zacząć ją wyzyskiwać dla swych specjalnych celów, tak jak się wykorzystuje każdą niedorzeczność, bez względu na to, skąd przychodzi[5])".

Jako redaktor „Nowin", a więc wtedy, gdy nie jest skrępowany programem i polityką obcego dziennika, uważa się za powołanego i zdolnego do stworzenia nowego programu, który wchłonął istotne zdobycze pozytywizmu, przezwyciężył zaś jego wady i słabości. Ten nowy kierunek nazywa realizmem, przeciwstawia go zaś pozytywizmowi na następujących podstawach. Zwracając się do pozytywistów pisze[1]):

> „Wy byliście teoretycy, my chcemy zacząć praktykę. Wy tylko zalecacie, my chcemy wykonywać. Wasza praca, zgodna zresztą z wymaganiami epoki, była tylko negatywna, nasza chce być pozytywną. Wy dopiero wołacie o naukę, my już słuchamy jej wskazówek.
>
> Wy wreszcie byliście realistami w pragnieniach, a idealistami w rozumowaniach, a my już chcemy być realistami do gruntu. Wy jesteście demokracją i liberalizmem w słowie, a arystokracją i despotyzmem w duchu, my jesteśmy i chcemy być demokracją w duchu i w czynach.
>
> My chcemy iść naprzód, wy zostaliście na miejscu; wy macie przeszłość, do nas należy przyszłość".

Jego publicystykę współcześni oceniali także jako niepozytywistyczną, a nawet widzieli w nim świadomego przeciwko pozytywistom opozycjonistę. I tak np. z książki Ludwika Włodka dowiadujemy się, że „wchłonął on jedynie pozytywne cechy kierunku, pozostawiając na uboczu wszystkie negatywne, polemiczne. Stąd pochodziły nieporozumienia między nim a stronnictwem (jeżeli je tak nazwać można) pozytywistów w kraju, które trwały przez całe lat czterdzieści jego pracy publicystycznej[2])".

Szweykowski zaś informuje nas dokładniej o ataku obozu pozytywistycznego na Prusa, kiedy wygłosił on pogląd, że sama oświata nie wpływa na moralność społeczeństwa i że dopiero wychowanie może podnieść ogół etycznie[3]).

A jakże wygląda program pozytwistyczny i jego głosiciele w beletrystycznej twórczości Prusa. Najpowierzchowniejsze nawet porównanie Prusa z Bałuckim, a i wszesną fazą pisarstwa Orzeszkowej, odkryje nam niezmiernie istotne różnice. Dla obydwu przedstawicieli pozytywizmu w literaturze powieść jest kazalnicą, z której wygłasza się pożyteczne poglądy ilustrując je odpowiednimi przykładami. W praktyce powieściopisarskiej nie dostrzega się innej różnicy między publicystyką a powieścią prócz jej większej strawności dla niewyrobionych czytelników. Michał Bałucki pisał w swej bardzo charakterystycznej powieści „Byle wyżej", jak pojmuje swoje zadanie powieściopisarza: „Najznakomitsze typy, najsprytniejsza intryga pozostaną tylko bawidełkiem, sztuczką, jeżeli w nich czytelnik nie doczyta się tego, co go nauczyć, podnieść i umoralnić może" (str. 29). Naturalnie owo umoralnianie czytelnika musiało się odbywać kosztem rezygnacji z postulatów artystycznych, zlekceważenia wszystkiego, co nie jest ową umoralniającą tendencją. To strywializowanie środków artystycznej ekspresji, prymitywizm form literackich dostrzegali już współcześni np. Chmielowski, ale wybaczali to, ponieważ uważali, że owa rezygnacja z wymagań literackich „opłaca się" społecznie, szerzy się bowiem idee zbawienne, wychowuje się i umoralnia czytelnika.

Stąd też świat tych „pozytywistycznych" powieści jest ogromnie prosty i nieskomplikowany; bohaterowie dzielą się na dwie kategorie: zwolenników dawnego porządku w sferze społecznej i intelektualnej oraz bojowników postępu. Pierwsi reprezentują przesądy umysłowe i społeczne, są „reakcjonistami", kultywują różnice stanowe, brzydzą się pracą, pasożytują na cudzych wysiłkach, otaczają się zbytkiem i atmosferą zakłamanej wyższości, co pozwala im na całkowite wolne używanie życia bez liczenia się ze społecznymi, moralnymi restrykcjami. Drudzy są zwolennikami „demokracji" teoretycznymi i praktycznymi, żyją na stopie przyjacielskiej ze służbą i pracownikami, szczęście i cel swego życia widzą w pracy, obowiązek społeczny w bogaceniu się, tworzeniu warsztatów pracy dla siebie i dla innych oraz w szerzeniu oświaty tam ,gdzie tylko jej światełko paść może.

Przy takim podziale ról mamy w powieściach tych czarne charaktery arystokratów, czy też „reakcjonistów" patry-

---

[1]) Teodor Jeske Choiński — Pozytywizm w nauce i literaturze.

[2]) Ludwik Włodek — Bolesław Prus. Zarys społeczno - literacki. Str. 4.

[1]) Jeske Choiński — Typy i ideały polskiej beletrystyki pozytywnej.

[2]) Jeske Choiński — Pozytywizm w nauce i literaturze. Warszawa 1905.

[1]) Teodor Jeske-Choiński — Typy i ideały polskiej beletrystyki pozytywnej. str. 147.

[2]) Ignacy Fik — Rodowód społeczny literatury polskiej. Kraków 1938.

[3]) Zarys najnowszej literatury polskiej str. 151.

[4]) Aleksander Gławacki — „Prawda" 1890, str. 380.

[5]) Felieton „Na cześć", „Kolce" r. 1874 nr 18, cytuję ze Sbweykowskim („Lalka") str. 22.

[1]) Artykuł „Alea lacta est", „Nowiny" 1882, str. 313. cytuję za Szweykowskim („Lalka") str. 22.

[2]) Ludwik Włodek — Bolesław Prus, str. 9.

[3]) Zygmunt Szweykowski — „Lalka" Bolesława Prusa, str. 42 i n.

cjatu miejskiego (Bałucki), rozprożniaczonych, bezmyślnych ziemian (Orzeszkowa), którzy swą drogę życiową zamykają najokropniejszym bankructwem, klęską, niepowodzeniem, będącym karą za błędy żywota. Natomiast jasne postaci bojowników postępu, tworzący centra rodzinnego rzemiosła czy handlu, szkółki wieczorne dla czeladników, kasy pożyczkowe dla potrzebujących, prowadzą życie pełne pracy i zadowolenia, otoczeni miłością rodziny i pracowników, szacunkiem wszystkich, którzy mieli sposobność ich poznać.

Drogę bohatera, który życie swoje poświęcił realizacji pozytywistycznego programu odmalowują jako trudną i żmudną, zapowiadają, że niejedną w takim życiu można napotkać przeszkodę, ale w ostatecznym rozrachunku pozytywista wychodzi zwycięsko. Ba, musi wyjść zwycięsko; bo kto tak ściśle umiał związać pożytek własny i korzyść społeczną, kto swą działalność oparł na rozumnym, trzeźwym wyliczeniu, potrafi pokonać wszystkie przeszkody, które — choćby największe— w końcu okażą się pozorne dla człowieka zbrojnego w wiedzę, trzeźwe wyrachowanie i pracowitą wytrwałość.

Takie postacie „pozytywistów" pokazał nam Bałucki w „Byle wyżej", „Pańskich dziadach", „Błyszczących nędzach", Orzeszkowa — chociażby w „Eli Makowerze".

W tych utworach pozytywista, a więc, jakby tego chciał Kott, przedstawiciel ideologii liberalnego mieszczaństwa, święci swój triumf, reprezentuje on świat zwycięski, teraźniejszość już prawie opanował, a przyszłość bezwzględnie do niego należy.

Jakże dziwnie na tym tle wygląda twórczość Prusa przed „Lalką", twórczość, którą reprezentuje: „Pałac i rudera", „Dusze w niewoli", „Grzechy dzieciństwa", „Anielka", „Placówka". Trudno było by znaleźć tam, „pozytywną" ideologię, czy jej przedstawicieli. Właściwie znajdziemy ją tam dwa razy, w dwóch szkicach humorystycznych, które może by warto tutaj przypomnieć. Pierwszy to humoreska „Co się z wielkiej idei zrobiło w małym miasteczku", drukowana w r. 1877 w kalendarzu humorystycznym „Kolców", przypomniana dopiero w zbiorowym wydaniu Szweykowskiego[1]). Jest to historia literata, Jacka Utopowicza, który wymyślił rozprawę „O potrzebie łącznego działania w celu podniesienia ogólnego dobrobytu", a wydrukowawszy uznał ją za arcydzieło, które może stanowczo wpłynąć na przyszłość społeczeństwa. Program jego polega na tym, że zachęca „do zebrań, wspólnych zabaw, tworzenia straży ogniowych, czytelni — słowem do wszystkiego". Zaproszony został na prowincję, bo jak to sam określa, wzywa go „kółko ludzi miłujących postęp, w interesie łącznego działania, tudzież obudzenia ducha inicjatywy, wybiera się więc w podróż, bo chce „wielką ideę na grunt małomiasteczkowy przeszczepić. Podróż jego kończy się zupełnym fiaskiem, ponieważ: 1. nie ma właściwie nic do powiedzenia zebranym inteligentom Wydrwiszek, 2. gdyby nawet miał coś do powiedzenia, to inteligencja miasteczka nie umiała by go słuchać, zajęta całkowicie plotkami i komerażami.

Drugi — to szkic pt. „Nowe prądy" napisany w r. 1891, drukowany w „Kalendarzu praktycznym ilustrowanym" i także przedrukowany dopiero przez Szweykowskiego[2]). Tutaj przedstawia pana Anastazego Końskiego, który „kochał społeczeństwo i chciał pracować, a przy tym dużo czytywał (niestety artykułów wstępnych). Dowiedział się z nich, że rzemiosła nasze są zacofane i że je podnieść należy". Wypisał więc z artykułów wstępnych formuły, jak działać należy, wyuczył się ich na pamięć, zakomunikował o tym pewnemu literatowi, który czym prędzej tak oryginalny pomysł drukiem ogłosił. Autor takiego rewelacyjnego programu poczuwał się do realizowania go w praktyce. Wstąpił więc do warsztatu szewskiego, gdzie demoralizował ludzi, głosząc nieprzemyślane frazesy, a następnie założył własną nowoczesną fabrykę, która prędko zbankrutowała.

[1]) Nowele, opowiadania, fragmenty, t. I.
[2]) Opowiadania, nowele, fragmenty, t. III.

Tak więc przedstawia się stosunek Prusa do pozytywizmu w tym ciaśniejszym historycznym znaczeniu. Pamiętać o tym trzeba właśnie dlatego, że po działalności literackiej właściwych pozytywistów „przeszły zapomnienia pługi", a on ostał się czasowi, on jeden chyba jedyny z tego okresu jest dotychczas lekturą nie tylko całkowicie strawną, ale pasjonującą. Został więc w świadomości ogółu reprezentantem epoki, a raczej reprezentantem kierunku, z którym był właśnie skłócony. I dlatego wydaje mi się bardzo zasadniczym nieporozumieniem traktowanie „Lalki" jako wyrazu pozytywistycznego programu, szukanie w niej jakichkolwiek ideologicznych tendencji.

Opinie współczesnych chyba potwierdzą moje zdanie: przede wszystkim „Lalka" zaskoczyła krytyków i czytelników Prusa, nie spodziewano się po nim utworu o takiej dynamice wewnętrznej, takiej rozpiętości problemów, nie domyślano się w nim tych możliwości intelektualnych i artystycznych, tak jak podobno on sam się ich nie domyślał. „Kiedy ta wielka, bezładna nieraz opowieść zaczęła się w odcinkach dziennika, czytelnik znający Prusa, mógł się zdumiewać szalonym jej humorem, cudacznością karykatur, niebywałą grozą duchowych katuszy, rozbujałością romantycznej tęsknoty, pożerającego smutku, złożoną wielce perspektywą figur żywych i jasełkowych..." — pisze Cezary Jellenta[1]).

Krytycy tacy jak np. Chmielowski czy Kotarbiński ustosunkowali się do niej chłodno, wytknęli jej zasadnicze wady jak np. bezładna budowa, brak prawdopodobieństwa psychologicznego w obrazie przeżyć miłosnych Wokulskiego, brak realizmu w kreśleniu obrazów z życia arystokracji, której Prus nie mógł znać z osobistych kontaktów. Chmielowski nie dostrzegł widocznie w „Lalce" tych zalet ideologicznych, które mu kazały tak pobłażliwie oceniać twórczość Bałuckiego czy Orzeszkowej, kiedy to pisał, że „rozpowszechnienie .... zdrowych pojęć wśród społeczeństwa użyteczniejszym jest niewątpliwie od tworzenia cacek artystycznych. Zasługa pisarza mierzyć się u nas musi i teraz i zapewne długo jeszcze w przyszłości nie tyle doskonałością wykonania, ile rodzajem zasad i dążności przezeń szerzonych"[2]). W oczach krytyka, tak pojmującego zadania literatury i tak oceniającego utwory literackie „Lalka" nie znalazła uznania.

Inaczej natomiast spojrzeli na nią ludzie nie związani z obozem pozytywnym i jego ideologią. I tak Ludwik Popławski pisał: „Lalka" jeżeli już koniecznie trzeba przykleić do niej stempel klasyfikacyjny, jest szeroką, wspaniałą, pierwszą u nas satyrą społeczną, która pod względem głębokości pomysłu, bogactwa spostrzeżeń, siły uczucia, tak wysoko przerasta wszystkie tego rodzaju utwory w naszym piśmiennictwie, że wydają się wobec niej marnymi, płaskimi bufonadami"[1]).

Może jeszcze bardziej miarodajne i typowe będzie zdanie Feldmana, którego negatywną opinię o pozytywiźmie przytoczył Kott na początku swojego artykułu przypominając jego opinię, że „pozytywizm strącił z ołtarza uczucie i umieścił rozum, czynnik analizy i abstrakcji uniwersalny i kosmopolityczny... Zimno było acz jasno w dobie pozytywizmu. Zimno i trochę obco". Otóż ten sam Feldman określiwszy udział Prusa w ruchu pozytywistycznym jako słaby, uznał „Lalkę" za zjawisko wyjątkowe na tle epoki. „Nikt w nowszych czasach nie dał tak szerokiego obrazu społeczeństwa polskiego, jak Prus w Lalce, nikt tak gorzko nie wychłostał okresu pozytywistyczno-organicznego"[2]).

Te przytoczone wyżej opinie stanowić mogą właściwy wstęp do rozpoczęcia uważnej i życzliwej lektury „Lalki".

C. d. n.

Janina Kulczycka-Saloni

[1]) „Dwie epopee kupieckie". „Ateneum" 1903.
[2]) Piotr Chmielowski. Zarys najnowszej literatury polskiej, str. 272.

[1]) Ludwik Popławski — „Szkice naukowe i literackie", Warszawa 1910, str. 95.
[2]) Wilhelm Feldman — Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu, t. I, str. 192. Lwów 1902.

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

Jeszcze raz — wokół sprawy o pochodzeniu człowieka

A WIĘC jeszcze raz wypada powrócić do sprawy pochodzenia człowieka i toczącej się od pewnego czasu dyskusji na ten temat. Zmusza mnie do tego artykuł prof. J. Czekanowskiego w Nr 21 (114) „Tygodnika Powszechnego" („Uwagi krytyczne do krytyki „Kuźnicy").

Użyłem wyrazu dyskusja, chociaż wcale nie jestem pewien, że chodzi tu naprawdę o jakąś kontrowersję w sprawie odpowiedzi na wyraźne pytanie — Co nauka współczesna sądzi o pochodzeniu człowieka? Odnosi się bowiem wrażenie, że wypowiedzi (przynajmniej jednej strony) krążą dokoła zagadnienia, poruszają różne sprawy natury raczej ubocznej. Postarajmy się wobec tego jak najbardziej ograniczyć i zwęzić temat.

Nie będzie to rzeczą łatwą, gdyż prof. Czekanowski porusza w swej wypowiedzi mnóstwo ogromnie interesujących zagadnień, z których każde stać się może tematem oddzielnej rozprawy. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że profesor zajmuje się mimochodem problemami poziomów popularyzacji naukowej, pewnych działów biologii lansowanych rzekomo jako namiastka filologii klasycznej, prymitywizmem naukowego myślenia zoologów i przewagą nad nimi botaników, pragmatyzmem, jako ideałem nowoczesnego historyka, stosunkiem zachodnio - europejskiej nauki ścisłej do „bujnej myśli helleńskiej, która mimo całego demokratyzmu ateńskiego, skalanego co prawda śmiercią Sokratesa, od laików odcięła się jednak wymaganiem znajomości geometrii"; jeśli zajmuje się on ponadto ortodoksyjnym marksizmem i jego świętymi księgami, objawionymi przez „ekonomistów i polityków XIX wieku", przemienianiem się materii w energię, bombą atomową, która „nie obciąży sumienia marksistowskiej nauki", — i wieloma jeszcze sprawami, czyniąc to w dodatku w sposób ogromnie skondensowany, żeby nie powiedzieć apodyktyczny, — to potrzeba zwężenia tematu tej przynajmniej dyskusji staje się oczywista.

Mam wprawdzie wielką ochotę wziąć w obronę niesłusznie krzywdzonych zoologów (co czynić z Lamarckiem, który przez pół życia był botanikiem, a osiągnął szczyt myślenia przyrodniczego jako zoolog?), ograniczę się jednak tylko do uwagi — i to bynajmniej nie złośliwej — że jeśli prymitywizm myślenia naukowego polega na nieodróżnianiu faktów od hipotez, na zbytniej wierze w hipotezy, to chyba w zakresie antropologii, i to właśnie jej nie-filogenetycznej części, zjawisko to występowało bardzo wydatnie, a pewne jej działy opierają się całkowicie na założeniach apriorycznych (np. założenie stałości typów morfologicznych przy istnieniu panmiksji).

Prof. Czekanowski jest urażony wyrazem „anegdotki", którego użyłem, mówiąc o jego pierwszym artykule w „T.P.". Śmiem twierdzić, że jedna z tych anegdotek, dotycząca prof. Sawickiego, okazałą się, w świetle przekonywujących wyjaśnień tego prehistoryka w jednym z poprzednich numerów „Kuźnicy", anegdotką z kategorii brzydkich.

Co do niektórych spraw chciałoby się zapytać prof. Czekanowskiego o bliższe wyjaśnienia. Pisze on „...mendelizm jest tolerowany jedynie na poziomie nauczania uniwersyteckiego, gdy nauczanie biologii w szkole średniej opiera się na kanonach prawowiernego darwinizmu, przy czym zagadnieniu pochodzenia człowieka poświęca się bardzo dużo uwagi".

Gdzie to się dzieje? W jakim kraju? W programach polskiej szkoły średniej mendelizm i nauka o dziedziczności zajmują stanowczo więcej miejsca, niż „prawowierny darwinizm"!

I co to jest „prawowierny darwinizm"? Od dawna wiemy, że w genialnym dziele Darwina należy odróżniać dwie wyraźne strony, a mianowicie — 1. teorię ewolucji, a więc teorię zmienności i historycznego rozwoju świata organicznego oraz 2. teorię pochodzenia gatunków, a więc próbę wyjaśnienia mechanizmu ewolucji. Co do składnika pierwszego, zdania przyrodników są zgodne. Stopień prawdopodobieństwa tej teorii wzrasta z każdym nowym odkryciem, uczeni traktują ją niemal jako fakt naukowy, a w każdym razie nie mniej poważnie, niż wyniki badań astronomicznych, na które prof. Czekanowski się powołuje. Mechanizmu ewolucji nadal jeszcze nie znamy, aczkolwiek osiągnięcia idące w kierunku wyjaśnienia tego mechanizmu są bardzo poważne, jak o tym można poinformować się chociażby z pracy prof. Sorbony J. Tessier („Myśl Współczesna" Nr. 6 — 7, 2 (9) lub prof. Sorbony, P. Grassé (L'évolution", Cours de Sorbone, 1943), a poczesne miejsce zajmują w nich jednak nadal elementy „prawowiernego darwinizmu". Dodać trzeba, że naprawdę nie ma teraz poważnych uczonych (nawet zoologów!), utożsamiających pokrewieństwo i podobieństwo!

Wróćmy jednak do zagadnienia pochodzenia człowieka, któremu, trzeba to przyznać, prof. Czekanowski poświęca jednak kilka wierszy, choć czyni to po to, aby sugerować, iż sprawa wyjaśnienia filogenezy człowieka odsuwa się coraz bardziej od dziedziny przypuszczeń — „znacznie ciekawszych dla laików niż dla naukowców".

Że nie jest to zgodne z prawdą, dowodzi chyba najlepiej artykuł prof. Mydlarskiego: „Ostatnie odkrycia paleontologiczne małp człekokształtnych i ich znaczenie w filogenezie człowieka („Myśl Współczesna" Nr. 5 (12), w którym autor informuje nas o najnowszych badaniach w tej dziedzinie.

Prace i odkrycia Leakey'a (1942), v. Koenigswalda, Weidenteicha (1946) — a wszystko to są przedstawiciele **zachodnio - europejskiej nauki — znów posunęły o krok naprzód** naszą wiedzę o filogenezie człowieka.

Pocóż więc sugerować, że jest inaczej, tym bardziej, że właśnie od chwili wypowiedzenia się na łamach tegoż „Tyg. Powsz." przedstawicieli kościoła, którzy nie negują faktu zwierzęcego pochodzenia człowieka, zagadnienie to nie powinno już chyba należeć u nas do „drażliwych" lub „wstydliwych"? Współczesny stan zagadnienia filogenezy człowieka został przedstawiony przez prof. Mydlarskiego w „Kuźnicy" i „Myśli Współczesnej".

Słusznie zwraca uwagę prof. Czekanowski na to, że nie można stosować bezkrytycznie kryteriów **wyłącznie** przyrodniczych do człowieka, który żyje w środowisku przez siebie wytworzonym i podlega rozwojowi społecznemu. Ale czyż nie „ortodoksyjni marksiści" pierwsi postawili tę sprawę na właściwej płaszczyźnie i czyż biologowie nie przekazują obecnie tej dziedziny badań — socjologom? Wątpię bardzo, czy wśród współczesnych biologów, są tacy, którzy chcieliby bezkrytycznie stosować kryteria i metody czysto przyrodnicze do **wszystkich** przejawów życia człowieka, zwłaszcza do jego życia społecznego. Takie stawianie sprawy pachnie ubiegłym stuleciem.

Docieram do sprawy najważniejszej, która stała się główną przyczyną niniejszej repliki.

Prof. Czekanowski pisze: „Tym niemniej dopiero naszej generacji przypadło w udziale zaznajomienie się z praktycznymi konsekwencjami, wynikającymi z biologicznego wartościowania spraw ludzkich w perspektywie darwinistycznej teorii ewolucji. To zaś musiało spowodować chęć zdania sobie sprawy z tego, jak się właściwie przedstawia sprawa naukowych podstaw tej teorii, która nas obdarzyła rasizmem. Przecież wymordowanie milionów bezbronnych ludzi zostało dokonane w myśl nakazów płynących z teorii uważającej bezlitosną eliminację słabszych, mniej przystosowanych, a zatem mniej wartościowych z biologicznego punktu widzenia, za konieczny warunek postępu, którego istotnym motorem ma być walka o byt".

Sens tego rozumowania jest taki: materialistyczna teoria ewolucji jest jednym ze źródeł faszyzmu i hitleryzmu. Słyszymy to nie po raz pierwszy.

Naiwność tej pielęgnowanej na łamach „Tygodnika Powszechnego" legendy jest oczywista. Fakt, że pokutuje jeszcze ona na świecie, wymaga jednak jakiegoś stanowczego odporu. Temat — choć z naukowego punktu widzenia niewątpliwie nieciekawy i odgrzewany — jest poważny i obszerny, wymaga analizy psychologicznej i socjologicznej, współpracy biologa z socjologiem. Ograniczę się więc tutaj do wysunięcia raczej pewnych podstawowych tez.

Przede wszystkim — sprawa walki o byt. Jeżeli nawet przyjmiemy, że jest ona, jak przypuszczał Darwin, głównym motorem ewolucji, to trzeba dokładnie sprecyzować, co przez to rozumiał. Termin był obrany fatalnie, gdyż sugeruje wyobrażenia walki aktywnej, wywołuje obrazy kłów, pazurów, zaciętych bojów. Darwin sam zresztą to przyznawał. Utarło się jednak używanie tej terminologii, zamiast o wiele stosowniejszego zwrotu „przetrwania organizmów najlepiej przystosowanych do panujących warunków". Wiemy bowiem, że przystosowania natury biernej były w procesie ewolucji orężem w „walce o byt" nie mniej skutecznym, niż narzędzia walki czynnej. Wiemy nadto, jak zmieniają się metody „walki o byt" w obrębie gatunku, gdy chodzi o zwierzęta żyjące społecznie. Wiemy wreszcie, że do społeczeństwa ludzkiego pojęcie walki o byt w tym ujęciu, jakie mu nadaje prof. Czekanowski, nie jest i nie było stosowane, chyba tylko w okresie wczesnych i dawno przebrzmiałych dyskusjach o darwinizmie.

Argument, że pseudouczeni niemieccy byli przez Hitlera i jego bandę używani do gruntowania w psychice niemieckiej idei rasizmu — argumentem nie jest i tego rodzaju błędne rozumowanie ma w logice swoją nazwę od czasów bodajże Arystotelesa.

Socjalizm nie stracił swej wartości z tego powodu, że Hitler nadużył tego terminu w nazwie swej partii.

Czy antropologia, a w szczególności nauka o rasach ludzkich, do której tak cenny wkład wniósł prof. Czekanowski, straciła coś ze swej wartości wskutek tego, że była nadużywana przez „uczonych" niemieckich dla celów zbrodniczej polityki hitleryzmu? Gdyby, naprzykład, teorię jednostek biologicznych prof. Czekanowskiego, odpowiednio spaczoną i spreparowaną, teoretycy hitleryzmu zechcieli zużytkować dla swych celów, czy straciłaby ona na wartości naukowej?

TREŚĆ NR 28

Mieczysław Jastrun — **Kasprowicz — po latach; Erazm** — Rewolucja filozofów; Witold Łukaszewicz — **Paryż i Polacy w Paryżu podczas rewolucji (1789—94)**; Władysław Bieńkowski — **Przebudowa życia kulturalnego**; Paweł Hertz — **Odwiedziny u Prousta (II)**; Adam Bromberg — **Plany i realizacje (III)**; Mieczysław Piotrowski — **Inscenizacja plastyczna „Celestyny"**; Juliusz Żuławski — **„Żołnierz i bohater" w Teatrze Kameralnym**; Antoni Słonimski — **Literatura w UNESCO**; Kazimierz Budzyk — **Skończyć z burzliwą dyskusją w sprawach wydawniczych**; Stefan Otwinowski — **W Krakowie** (list dwudziesty drugi); Lidia Łopatyńska — **Czy naprawdę „Poezja Pozoru"; Przegląd prasy; Noty.**

Wydaje mi się, że nie.

Całe jednak zagadnienie ma znacznie głębsze podłoże.

Sugeruje się nieraz świadomie i celowo, że faszyzm i hitleryzm wyrosły na gruncie materialistycznego pojmowania świata, które jest jakoby źródłem wszelkich totalistycznych struktur społecznych. Są to sugestie równie szkodliwe, jak i niezgodne z prawdą.

Nawet dla człowieka, nie zdającego sobie sprawy z motorów poruszających życiem społecznym i politycznym, jest rzeczą jasną, że cała nadbudowa ideologiczna hitleryzmu została sztucznie zlepiona z tworów bardzo rozmaitego pochodzenia i jakości wyciągniętych z różnych lamusów filozoficznych.

Główną rolę w tym zlepku ideologicznym odgrywały jednak elementy wywodzące się ze światopoglądu idealistycznego, z różnych poza naukowych mitów i wierzeń. Nie jest rzeczą przypadku, że dzieło czołowego ideologa hitleryzmu nosi miano „Mitu XX wieku". Skąd, jak nie z arsenału filozofii idealistycznej, czerpali ideolodzy faszyzmu i hitleryzmu zatrutą broń idei — o wyższości rasy, o posłannictwie dziejowym, o misji historycznej narodu niemieckiego? Czy nie nadużywali dla swych potrzeb wiary ludu niemieckiego w Opatrzność, prowadzącą go rzekomo śladami wodza na drogę chwały? Czy nie odzwyczajali systematycznie od myślenia, analizy, krytycyzmu — tych cech, które są podstawą naukowego poglądu na świat?

Że przy tym, dla potrzeb ludzi, którzy chcieli nadal zachować pozory osobników myślących, nadużywano odpowiednio spreparowane „prawdy" naukowe i to z bardzo różnych dziedzin wiedzy, to nie dowodzi ani znaczenia tych poczynań dla utrzymania w karbach milionów nowych niewolników, ani nie kompromituje jakiejkolwiek nauki. Książka O. Ammona, przytaczana przez prof. Czekanowskiego była właśnie taką pożywką dla tych Niemców, którzy nie umieli przestać myśleć, a chcieli myśleć wiernopoddańczo i maszerować w nogę z bezmyślnym SS-owcem, wierzącym ślepo w swego wodza i nie mającym pojęcia o Darwinie. Walka o byt w ujęciu Darwina a „walka o byt" niemieckich SSmanów ma akurat tyle wspólnego, co teoria powstania ras a rasizm. Co się tyczy filozofii materialistycznej, to budziła ona wszak największą nienawiść faszystowskich wodzów różnego kalibru, korzystających jednak chętnie z niektórych jej odpowiednio zdeformowanych elementów, gdy zachodziła potrzeba.

Czas skończyć ze szkodliwym mitem o darwinistycznej (lub w ogóle materialistycznej) podbudowie faszyzmu. Wierzyć mogą weń ci tylko, którzy nie odróżniają — lub nie chcą odróżniać — materializmu filozoficznego od „materializmu" życiowego.

I szkoda wielka, że właśnie prof. Czekanowski, którego piękna i ciekawa dziedzina wiedzy, tak dotkliwie została obrażona i pogwałcona przez faszystowskich prestigitatorów, zechciał zagadnienie stosunku najpłodniejszej do dziś teorii biologicznej do antyhumanitarnej i antynaukowej ideologii faszystowskiej, ująć właśnie tak, jak to uczynił.

Wł. Michajłow

JULIA HARTWIG

KRONIKA FRANCUSKA

(„Czy naprawdę jestem samotny")

ARTYKUŁ G. Mounin (znanego już czytelnikom „Kuźnicy" z cytowanej u nas wypowiedzi jego w dyskusji „Esprit" na temat: „Komunizm i świat katolicki") zatytułowany: „Czy naprawdę jestem samotny?" jest ciekawym odbiciem sytuacji umysłowej i nastrojów wytworzonych we Francji w ośrodkach związanych z grupą egzystencjalistów siłą ciążenia lub oporu. Mounin nie należy bynajmniej do wyznawców tej gorzkiej i modnej religii. Stanowisko jego sprecyzowane w artykule, który wart jest zacytowania bodaj w wyjątkach dla argumentacji ujmująco ludzkiej i bardzo literackiej równocześnie jest stanowiskiem świadomej, optymistycznej postawy społecznej, stanowiskiem zdeklarowanego, jak sam pisze, komunisty. Samego zagadnienia nie da się zlekceważyć: jest ono niejednokrotnie ośrodkiem zainteresowania największych pisarzy europejskich, jest zagadnieniem „wiecznym", powracającym w rozważaniach t. zw. prywatnego człowieka i decyduje niejednokrotnie o ostatecznych wnioskach światopoglądowych, o zajęciu tej lub innej pozycji politycznej.

„Jednym z dominujących tematów literatury współczesnej jest samotność. Kierkegaard, Rilke. Kafka uczą swoich czytelników sztuki odczuwania samotności i wyciągania z niej nieograniczonych konsekwencji metafizycznych. Niedawno M. Blanchot w książce „Fauxlas" pokusił się o stworzenie prawdziwej apologetyki samotności w literaturze i głosząc przy pomocy Eckhardta, Prousta, Racine'a i Mallarme'go Péguy, Michaux i Baudelaire'a (woda na młyn Kierkegaarda) że istnieje olbrzymia literatura solipsystyczna i że każdy człowiek jest w istocie zupełnie samotny.

Nie trzeba iść za głosem przekory i przeciwstawiać tezie o absolutnej samotności Kierkegaarda tezy o absolutnej komunikatywności. Uczucie samotności istnieje, jest to uczucie opanowujące nas w dniach, gdy słabnie nasza zdolność nawiązywania związków z ludźmi. Nawet psychologia klasyczna uznała ten bolesny stan nie czekając na powiększające szkła egzystencjalizmu. A Roger Martin Du Gard nie zawdzięcza nic „nowym psychologom", gdy wkłada w usta konającego Antoniego Thibauld tragiczną refleksję: „Każdy sam, każdy w hermetycznej samotności. Każdy we własnym worku skóry". Nie próbują negować tego uczucia, którego obym nigdy nie miał do zwalczenia, i mówię z St. Michaux: „Słuchajcie, byłem czasem bardzo samotny, ale mówię także za Michaux, że „jedyna rzecz konieczna — to nie być samotnym", i wiem z doświadczenia, że przeważnie nie czuję się samotny. I nie wydaje mi się, aby jedno z tych uczuć było bardziej prawdziwe lub bardziej fałszywe, niż inne. Nie dlatego odrzucam Kierkegaarda, że budzi we mnie niepokój, ale, że wierzę, iż podchwyciłem prawdziwą naturę tego niepokoju. Gdyby Kierkegaard, czy Rilke, czy Blanchot postawili mnie dzięki ich i memu doświadczeniu wobec samotności jako sprawy zasadniczej i oczywistej, przyjąłbym ten stan rzeczy bez względu na to jak nieprzyjemny byłby dla mnie ten podstawowy element definicji człowieka. Ponieważ ponad wszystko pragnę tego, co pewne, przyjąłbym, że jestem owym ślepym głuchoniemym pośród światą i ludzkości, za jakiego chcą mnie uważać. Z pewnością zrozumiawszy mój los starałbym się nauczyć nowego alfabetu, wynaleźć inne znaki mające jakieś znaczenie dla innych więźniów i dla mnie. Jeśli nie przyjmuję samotności irracjonalistów, to nie dlatego, że napełnia mnie ona rozpaczą, ale dlatego, że mimo doświadczenia somotności nie wierzę w ich definicję samotności.

Kierkegaardowi mniej chodzi o stwierdzenie samotności jak o potrzebę stworzenia jej. Dla niego niemożność prostego porozumienia się jest postulatem wcześniejszym od wszelkich prób: istota ludzka powinna być zamknięta w sobie. „Nie mogę mówić — sekret jest konieczny, on jest posiewem samotności; samotność jest konieczna — rodzi bowiem trwogę; trwoga jest konieczna, gdyż jest nieodpartym dowodem istnienia Boga. „Wszyscy, którzy umieją milczeć stają się synami bogów; gdyż z milczenia rodzi się świadomość naszego boskiego pochodzenia".

Samotność prekursorów takich, jak Mojżesz i Nietsche wystudiowany hermetyzm Malarme'go — czy to samotność wszystkich ludzi? Ale mechanizm nowego teoretyka samotności Blanchot'a, działa najsprawniej wobec M. Péguy. Péguy nie przestał „myśleć sam, decydować sam" — czy to samotność? Oddychał także sam, jego bijące serce wysyłało krew tylko do ciała Péguy — czy to samotność? Péguy nie zawsze zwierzał przyjaciołom powolne dojrzewanie myśli, których może nie zawsze był świadom, czy to samotność? Péguy nie jest Claudel'em, jest Péguy'im — czy to samotność? W granicach tych dążeń, by wszystko nazywać samotnością widzimy, że: „jestem sam" ma taki sens, jak „jestem sobą, jestem tylko sobą".

Cała koncepcja losu ludzkiego — a o nic innego nie idzie w rozprawie nad naturą samotności — zasadza się na uczuciach, doznaniach kształtowanych jakby niezależnie od zdarzeń, wewnątrz człowieka.

Widzę trzech, lub czterech pisarzy, niezależnych od siebie, którzy zdolni są rzucić ludziom groźne ostrzeżenie wobec natury i jakości samego poczucia.

„Niebezpieczeństwo grożące nam, ludziom — mówi Barnabooth — polega na tym, że gdy wydaje nam się, że analizujemy nasz charakter, tworzymy w rzeczywistości istotę złożoną z ułamków postaci spotkanych w powieściach, którym nawet nie nadajemy własnych skłonności. Wybieramy dla niej zamiast imienia zaimek pierwszej osoby liczby pojedyńczej i wierzymy w jej istnienie równie gorąco, jak w nasze własne".

Duhamel podał ogólną formułę takiego postępowania. Introspekcja tym się różni od innych metod naukowych, że nie sposób obserwować w sobie fakty nie zmieniając ich, nie przekształcając, nie nadając im własnego istnienia, co groźniejsze.

André Gide uzupełnia wywód wnioskiem: „Analiza psychologiczna straciła dla mnie wszelkie znaczenie — zapiski w „Dzienniku Edwarda" — gdy doszedłem do przekonania, że człowiek odczuwa to, co wyobraża sobie, że odczuwa". Doświadczenie to Eluard przypieczętował formułą cytowaną niegdyś przez surrealistów: „Od pewnej granicy wyobraźnia odkrywa już tylko siebie".

Słabym punktem retoryków samotności jest to, że powiątpiewając we wszystko (uporczywi i zdumiewający rezonerzy, ci wrogowie racjonalizmu!) nie wątpią nigdy w samotność, jej przyczyny, znaczenie, ważkość. **To ich absolut.** Chcą, aby samotność stała się esencją człowieka: wykluczają z góry, nie wyobrażali sobie nigdy, aby mogła być przypadkiem, epizodem, aby wynikała z przypadkowości, zmęczenia, czy choroby.

Cała sztuka samotności zamyka się w jej wybranej definicji. Wrażliwość na absolutna świadomość związana jest z idealizacją świadomości. Jedyną doświadczalną i niezaprzeczoną rzeczywistością są stany świadomości.

Wzbraniam się przedewszystkim w zaniknięciu mnie w fałszywej definicji związków z innymi ludźmi. Jeśli będę twierdził, że poznać Rimbaud'a to znaczy poznać szczegółowo nieprzerwany ciąg sytuacji jasnych, lub niejasnych, które doprowadziły do każdego z uczuć, idei, zdań i aktów — mogę być z góry pewien, że wyszedłszy z tej definicji zostanie on dla mnie nieprzenikniona tajemnicą. Ale wiem, że taka definicja znajomości Rimbaud'a to wskrzesić go od początku poprzez jego życie, marzenia, lektury, poprzez wszystko, co poprzedziło i określiło na ziemi: znaczy to, wymaganie absurdalne, że musiałbym zostać Rimbaud'em. Wiem, że wymyślam niemożliwą, nieludzką definicję komunikatywności — i odrzucam ją.

Nie wierzę naiwnie, że można powiedzieć wszystko, co się chce i kiedy się chce. I że wszystko można pojąć, wszystko można wyrazić. Wiem, że jest wiele dziedzin trudnych do przełożenia. Wiem wraz z Valery'm, że język jest narzędziem praktycznym, ale wiem również jak on, że poezja polega na wytwarzaniu w innych takich stanów, których wyrazić język nie jest w stanie. Język potrafi wyrazić, że nuda rodzi się w dniu monotonii, ale to inny język, język przekształconych uczuć, który mówi: „Ciało jest smutne, biada! I wszystkie-m przeczytał książki".

Nie wiem, czy milczenie jest tym językiem, którego bogactwo tak cenią sobie niektórzy. Ani, czy twarz człowieka, dla mnie prawie zawsze nieprzetłumaczalna przemawia tym językiem, który przypisują mu zbyt pośpiesznie niektórzy powieściopisarze. Dopuszczam zresztą, że istnieją drogi zamknięte dla mnie. Ale są jeszcze inne drogi: przyjaźń.., braterstwo męskie... naelektryzowanie zapełnionych tłumami sal, gdzie odbywają się meetingi i koncerty... pola bitwy, gdzie każdy z nas czuje, że jest związany z innymi przynajmniej częścią siebie, która domaga się swego życia. Inne związki: zaufanie, poufność. Jeśli w powieściach Malraux rozmowy mają tę zawiesistość, zdumiewającą nagość, powagę wewnętrznych wyjaśnień, to dlatego, że Malraux daje w nich doskonałą, zasadniczą lekcję: uczy ludzi rozmawiać ze sobą. Również przy czytaniu niektórych powieści rosyjskich wydaje się, że ludzie potrafią wszystko powiedzieć — i mówią to dla nas. (Zresztą w stosunku do życia powieść zawsze robi wrażenie, że ludzie łatwiej się odsłaniają, porozumiewają się głębiej i bez rezerwy, wchodzą łatwiej w stosunki z innymi ludźmi, niż w życiu. Powieści uczą nas nawiązywania kontaktów, uczą nas stawać się podobnymi do postaci swobodniejszych od nas, do tych wyobrażeń ludzi, które człowiek, artysta stworzył).

Wiemy dziś, że ludzie związani nadzieją i działaniem, podobnie jak ludzie związani miłością, dochodzą do dziedzin, w które nie wkroczyliby sami. Dawna koncepcja związków w duecie rozszerza się na związki chóralne.

Pułapka samotności — oto z czego pragną zrobić niektórzy problem zasadniczy dla niezmiennej natury ludzkiej. Sartre mówi, że człowiek powinien sobie stworzyć własną istotę, którą musi sobie **urobić**. Ale nie mówi, że **urabiając się** może dojść do wyzwolenia się od samotności, od niepokoju. Oto skala wszelkich dialektyk, które nie dochodzą do ostatecznych konsekwencji.

W odpowiedzi na te dogmaty, tworzone na własną zgubę, poeci i doświadczenie odpowiada wypróbowanymi już aktami porozumienia, niezmordowanie dążyć do nawiązania coraz subtelniejszych połączeń. W sercu prawdziwych **związków**, na linii działania przyjaźni, miłości i odwagi, nieprzejrzystość istnień nabiera przejrzystości: nie jesteśmy zawieszeni w próżni, nie ma powodu do rozpaczy. René Char ma już teraz słuszność: „Być może pewnego dnia stanie się możliwa w olbrzymich perspektywach poezji nasza ucieczka w bliźniego." **Julia Hartwig**

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List dwudziesty trzeci)

DUŻO się w ostatnich czasach mówiło i pisało na temat reglamentacji papieru i na temat zarobkowania zawodowych pisarzy. Mniej o krzywdzie publicystów i teoretyków kultury, więcej o złym losie krasopisarzy. Ale — jeśli chodzi o tych ostatnich — los ich nie jest przecież wyłącznie zależny od papieru.

Chciałbym rzucić jako przedmiot do dyskusji jeszcze jeden sposób zaradzenia złu jednemu i drugiemu. Myślę o scenie — o dramatopisarstwie, które prawie, że obywa się bez papieru i które przy średnim nawet powodzeniu sztuki może dać autorowi duże dochody. Dyskusja w przedmiocie organizacji ekonomicznej przerodzić się powinna w wymianę poglądów zasadniczą.

Mamy scen więcej niż przed wojną, mamy teatry, które zobowiązane są do popierania twórczości wewnętrznej. Oczywiście, że zobowiązanie — to w wielu wypadkach teoria. Ale coraz łatwiej przy sprężystym działaniu pisarzy, opinii, organizacji — teoria może zmienić się w praktykę. Kierownik literacki przestał być figurą malowaną — broni interesu zawodowego w oparciu o autorytet Związku. Jeśli Związek ma autorytet choćby lokalny — dyrektor teatru liczy się z nim napewno.

*

A teraz szerzej — na temat niechęci do gatunku literackiego. Bo jest rzeczą bezwzględnie stwierdzoną, że dramat jest niemal bojkotowany przez pióra najwybitniejsze. „Bojkot" ten uwarunkowany jest przykrą atmosferą. Atmosfera z przed wojny — wywodzi się z okresu, kiedy teatr był imprezą niemal wyłącznie kapitalistyczną. Z okresu, gdzie na twórczą literaturę patrzało się, jak na dziwactwo. Scena umiała chronić siebie, swego mieszczańskiego, źle inteligentnego widza przed atakami twórczo niepokojących myśli i wyobrażeń. Z okresu tego nie wiele już zostało — ale został właśnie lekki uraz autorów. Boją się instytucji. Boją się instytucji, która przecież nie jest już ani artystyczna ani światopoglądowa — tylko konserwatywna.

*

Powiedziałem kiedyś kolegom niezupełnie żartem, że cieszę się raczej „z ograniczeń papierowych". Zrazicie się do niewdzięcznych

wydawnictw i łaskawszym okiem spojrzycie na teatr. Będę — jako kierownik literacki — czytać nietylko dzieła entuzjastów, dziwaków i zupełnych pomyleńców, ale także prace pisarzy z prawdziwego zdarzenia.

I rzeczywiście, nie bałbym się inwazji prozaików i poetów. Choćby z tej przyczyny, że gatunki literackie przeżywają także swoją rewolucję łagodną. Nie widzę niemal zupełnie „rasowych" epików. Ci jedni mogliby się nie zmieścić na scenie.

Prozatorzy typu amorficznego mogliby napewno uzgodnić życie swego niespokojnego wnętrza z życiem i prawami teatru, który prosi o ratunek. Zdradzimy swoje przywiązanie, bo i ono nas zdradza. Nietylko jako sprzysiężenie z ekonomią. Ale i jako pojęcie nie na dobre ulokowane w społeczeństwie. Bo przecież wzbrania się nietylko papier. Znowu dyskutuje z nami wydawca — walczy o nowego czytelnika. A i czytelnik chciałby nas zobaczyć w terenie walki żywszej. A czy jest żywszy teren od sceny? Uspołecznienie kultury, przeobrażenie myśli nie może się obejść bez jej awangardowego udziału.

Niech nam jeszcze raz za przykład posłuży Francja. Francja, której kultura nigdy nie zrywała kontaktu z polityką. Kraj, w którym teatr jest parlamentem filozofii. Także dzisiaj. Współczesny pisarz francuski próbuje wszystkich sposobów wypowiedzi. Nawet Mauriac, najpopularniejszy bodaj powieściopisarz, nie stroni od teatru. Próbuje działać również z jego pomocą. Modni dzisiaj Camus i Sartré wypowiadają się na zmianę raz powieścią, raz dramatem. Camus, Sartré, w filozofii swojej raczej aspołeczni, w taktyce zawodowej mogą być wzorem zapobiegliwości, dbałości o czytelnika, o los swego pisarskiego działania.

*

Narzekano tu na tym miejscu na kolportaż księgarski. Ale także sprawa rozprowadzania czasopism nie stoi najlepiej. Dobrze by było, gdyby najpoważniejszą gazetę codzienną Polski południowej „Dziennik Polski" czytała również Polska środkowa i Polska północna.

W Warszawie tylko w specjalnych kioskach sprzedaje się z opóźnieniem pismo krakowskie. A jest to pismo naprawdę godne uwagi: sposobem redagowania, współpracownikami konkurować może nawet z tygodnikami społeczno-literackimi. Zwłaszcza ciekawe są numery w całości poświęcane jakiemuś zagadnieniu. Choćby niedawny (z 29 czerwca) numer „oświatowy". Porusza się tu wszystkie najważniejsze sprawy, związane z reformą szkolnictwa i oświaty dla dorosłych. Artykuł prof. Mysłakowskiego przychodzi w sukurs naszym zawodowo-literackim wypowiedziom. Pisarz nie może być jednocześnie rozprowadzaczem swego dzieła, pośrednikiem w upowszechnianiu dóbr kultury. Pracę tę musi wykonać specjalista, odpowiednio wykształcony. Oświatowiec z kulturą literacką, społeczną, polityczną. Oprócz specjalnych uniwersyteckich wydziałów pedagogiki w Krakowie i Poznaniu istnieje w Uniwersytecie Łódzkim zakład pedagogiki społecznej. Wiele również można się spodziewać po krakowskiej Wyższej Szkole Nauk Społecznych. Przy szkole tej istnieje dobrze prowadzony wydział dziennikarski. Społeczni pisarze krakowscy pozostają z tym wydziałem w żywym kontakcie — między innymi przez Studium Młodych Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Stefan Otwinowski

KRONIKA RADZIECKA

POSZUKIWANIE POLONICÓW W ARCHIWACH I BIBLIOTEKACH W ZSRR

Osiągnięcia i perspektywy.

Poszukiwania poloniców w radzieckich archiwach i bibliotekach zostały zapoczątkowane w 1945 r. Jest to fakt ze wszech miar godny podkreślenia. Jego znaczenie można porównać tylko ze znaczeniem, jakie miało wszczęcie podobnych poszukiwań w Muzeum Watykańskim w Rzymie w 1885 r. Dla historyków stosunków polsko-rosyjskich, tak politycznych jak i kulturalnych otworzyło się szerokie pole badawcze pracy.

Przede wszystkim zajęto się Mickiewiczem, słusznie przypuszczając, że wiele śladów jego przebywania w Rosji nie zostało jeszcze ujawnionych. Pierwszym znaleziskiem był przechowywany w dziale rękopisów biblioteki im. Lenina list Mickiewicza do Czyżowa, publikowany dotąd z błędami, opuszczeniami i błędną datą. W związku z powyższym listem zainteresowano się osobą Czyżowa, co przyczyniło się do odnalezienia także w bibliotece im. Lenina obszernych jego wspomnień o Mickiewiczu. List, jak — również przetłumaczone na język polski i opatrzone obszernym komentarzem wspomnienia, zostały ogłoszone po raz pierwszy w wychodzącym w Moskwie piśmie „Nowe widnokręgi", po raz wtóry w nieco skróconej formie w marcowym numerze „Twórczości". Z „Nowych widnokręgów" przedrukowała także „Twórczość" niewielkie opracowanie znalezionego w Bibliotece im. Lenina listu Mickiewicza do Pogodina oraz dedykacji dla Polewojowa. List Mickiewicza do Malewskiego, jeden z najznaczniejszych w zespole listów, zwłaszcza literackich, tyle nam mówiący o kulturze artystycznej poety, oraz nie mniejszej wagi recenzja o przekładach z rosyjskiego — zostały odnalezione w Państwowym Archiwum w Moskwie. Materiały te wraz z kilkoma uwagami Stanisława Pigonia i komentarzami niżej podpisanego zostały ogłoszone poraz pierwszy w marcowym numerze „Twórczości".

Z pośród odnalezionych w archiwach Moskwy i Lenigradu, a dotąd nie ogłoszonych poloniców, wymienić należy korespondencję między Wielkim Księciem Konstantym i Benkendorfem. Korespondencja ta odnosi się do Mickiewicza; następnie oryginały dyplomów Mickiewicza, szereg jego listów, raporty z procesu Filomatów i Filaretów oraz tekę dokumentów dotyczących Szymona Konarskiego. Poza tym natrafiono na ślad nieznanych wspomnień o Mickiewiczu pióra Anastazji de Chlustin.

Celem obecnych poszukiwań są przede wszystkim listy i rękopisy Mickiewicza niezależnie od tego, czy tekst ich został ogłoszony. W związku z podjętym na nowo narodowym wydaniem dzieł Mickiewicza badania te są ze wszystkich innych najpilniejsze. Opierając się na przykładzie listu Mickiewicza do Czyżowa można przypuszczać, że odpisy poczynione wiele lat temu są w wielu wypadkach niedokładne. Podjęte poszukiwania pozwolą również sprostować wiele nieścisłości popełnionych w sejmowym wydaniu dzieł poety, a na temat miejsca przechowywania poszczególnych autografów. Nie ulega też wątpliwości, że poszukiwania te wzbogacą narodowe wydanie dzieł Mickiewicza niejednym nieznanym tekstem i niejednym nieogłoszonym dotąd wspomnieniem.

W najbliższym czasie zostaną przejrzane: depesze ambasadorów rosyjskich w Paryżu i Rzymie z czasów wielkiej emigracji, zawierające zapewne wiele ciekawych wiadomości o Mickiewiczu, Słowackim, depesze ambasadorów rosyjskich w Warszawie z czasów przedrozbiorowych, dokumenty dotyczące ruchów niepodległościowych w Polsce w okresie zaborów, materiały dotyczące wybitnych polskich zesłańców, rękopisy i listy wybitnych Polaków, zwłaszcza tych, którzy jakiś czas przebywali na terenie Rosji, najdawniejsze traktaty polsko-rosyjskie etc.

Równolegle do tych prac zostały rozpoczęte w wielkich bibliotekach ZSRR poszukiwania starych i rzadkich polskich druków. Do niepowetowanych strat, jakie poniosła nasza kultura w czasie ostatniej wojny, należy bezwzględnie utrata księgozbiorów. W ogniu, który trawił nasze miasta, szczególnie Warszawę, zginęło bezpowrotnie wiele pomników naszego piśmiennictwa i dlatego obecnie niezwykle cenne są wiadomości o istniejących rzadkich polskich drukach poza granicami Kraju. Opisane już zostały cenne polskie druki w bibliotece im. Lenina, w danej chwili przeglądany jest dział rzadkich ksiąg w bibliotece uniwersytetu moskiewskiego.

Poza pracą w archiwach i bibliotekach zainteresowano się także oszczędzonymi przez czas i ludzi, a przetrwałymi do naszych czasów miejscami pobytu wielkich Polaków, szczególnie Mickiewicza, na terenie Rosji.

W jednym z numerów „Odrodzenia" ogłoszone zostały liczne ilustracje i artykuł o miejscach pobytu Mickiewicza w Moskwie.

W czasie najbliższym opisane zostaną miejsca, gdzie mieszkał i tworzył poeta w Petersburgu.

Wyniki poszukiwań, odpisy, fotografie, opracowania, przesyłane są do Polskiej Akademii Umiejętności, która ze swojej strony służy cennymi radami i wskazówkami.

Należy przypuszczać, że w czasie najbliższym związek między podjętymi badaniami, a Akademią będzie o wiele ściślejszy niż dotychczas. Jest to konieczne ze względu na ich olbrzymi zasięg i znaczenie.

Samuel Fiszman

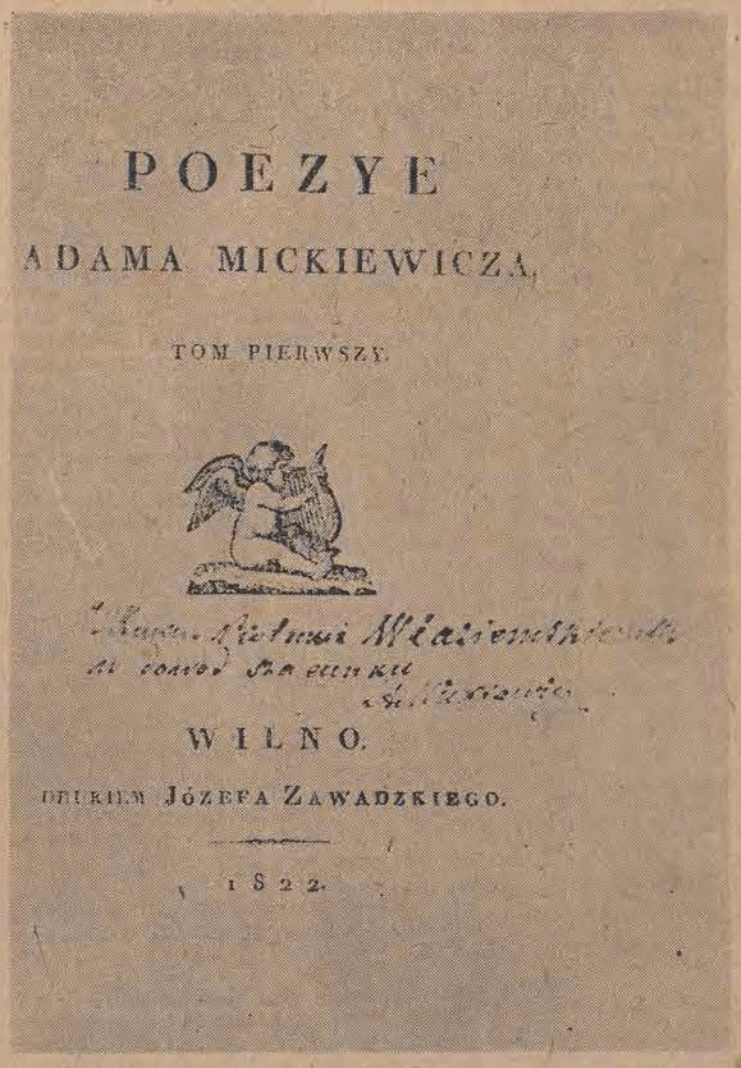

POEZYE

ADAMA MICKIEWICZA,

TOM PIERWSZY.

WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1822.

Karta tytułowa tomu poezji Mickiewicza z dedykacją księciu Piotrowi Wiaziemskiemu (Biblioteka im. Lenina w Moskwie).

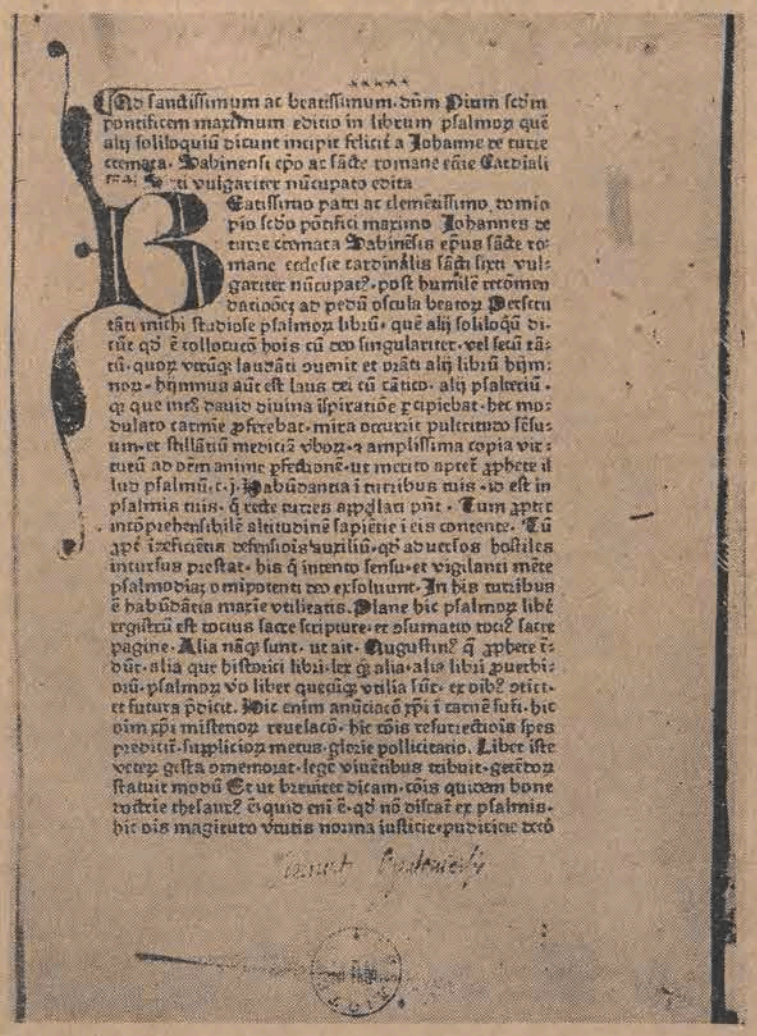

Pierwsza strona inkunabułu Jana de Turrecremata „Explenatio in psalteri" drukowanego w Krakowie około 1474 roku (Biblioteka im. Lenina w Moskwie).

WSPOMNIENIE O MARII ZAREMBIŃSKIEJ-BRONIEWSKIEJ

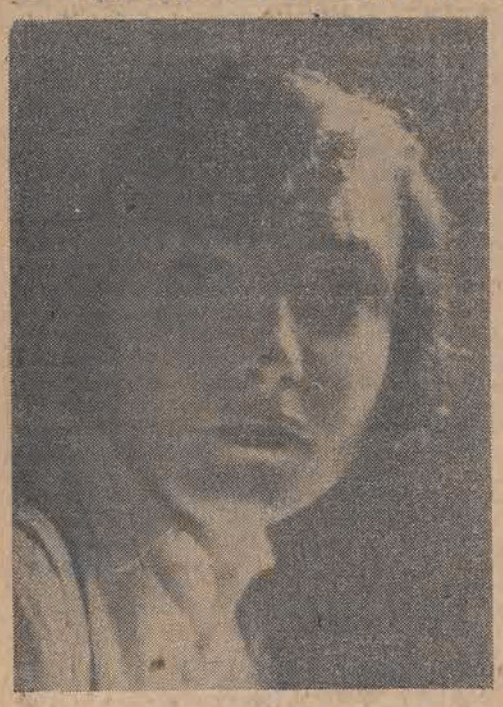

Maria Zarembińska-Broniewska w roli Joasa „Sędziach" St. Wyspiańskiego

5 LIPCA zmarła w Zurychu Maria Zarembińska, żona poety, Władysława Broniewskiego. Śmierć Jej jest śmiercią naturalną i tragiczną jednocześnie. Umarła bowiem w Szwajcarii, otoczona opieką wybitnych specjalistów, po dwuletniej chorobie. A przecież tam właśnie, w dwa lata po wojnie, dosięgła ją ręka hitlerowskiej przemocy nad człowiekiem i ta ręka nie pozwoliła Jej już wrócić do kraju.

Na bardzo krótko uśmiechnęło się do Niej życie, gdy po kapitulacji Niemiec wraz z innymi więźniarkami Oświęcimia wróciła do kraju. Szczęśliwa, że przetrwała Oświęcim, że przetrwała ciężką pracę w niemieckiej fabryce, zapalona do budowy nowego życia w Polsce i w sobie, odrazu rzuciła się do pracy. Wstąpiła do teatru i tak jak przed wojną w Warszawie, w czasie wojny we Lwowie, teraz w Łodzi podjęła na nowo trud aktorskiego zawodu. W „Zemście" i „Pannie Maliczewskiej" przypominała nam jeszcze dwukrotnie swój liryczny talent doskonałej artystki, przeżywającej rolę głęboko i subtelnie, swój nieporównany wdzięk kobiety pięknej i uroczej jednocześnie. Napróżno czekaliśmy na uśmiech Marii Zarembińskiej w „Świeżo malowanym", w której to sztuce miała grać rolę Meli. Podczas premiery leżała w łóżku zgorączkowana, już ciężko chora, ale jeszcze z nadzieją, że za tydzień, dwa zagra Melę. Nie zagrała ani Meli, ani żadnej innej roli. Wyniszczony obozem koncentracyjnym organizm uległ chorobie, nie znalazł sił do walki. Lata głodu, zimna, poniewierki, znoszone przez Marysię tak cierpliwie, tak pogodnie, teraz odezwały się na nowo. Przejmująca była dla tych, którzy Marysię odwiedzali, Jej walka z chorobą i śmiercią. Rwała się do życia i nie chciała zrezygnować z pracy, którą zaczęła. Wciąż jeszcze pisała listy do dzieci w pisemku „Przygoda" i powieść o dzieciach żydowskich z powstania warszawskiego. Z „Przygody" przynoszono jej co dzień plik listów od małych czytelników, którzy pocieszali Ją w chorobie, pisząc że powieść jest piękna i że uczą się na niej kochać wszystkie dzieci. Ale prosili też o ciąg dalszy. Chcieli koniecznie znać dzieje bohaterów powstania, których im Marysia pokazała jako ludzkich i wspaniałych. Marysia pisała dalej, dotąd, dopóki jej choroba nie wytrąci pióra z ręki. Wtedy czekała aż kryzys minie. Nie minął ani w Polsce, ani w sanatorium szwajcarskim. W listach Marysi ze Szwajcarii dominowały dwie myśli i dwie troski: jestem po za twórczym życiem mego kraju, przysyłajcie mi książki i listy, żebym przynajmniej mogła wiedzieć, jak wy pracujecie.

Umarła w Szwajcarii. Nie wszyscy jednakowo umierają. Podobno umiera się tak, jak się żyje. Śmierć i choroba Marysi zupełnie odbarwione z rozpaczy, ze skarg na tragiczny splot wydarzeń, z żalu za osobistym szczęściem, należą w sposób harmonijny do człowieka, który żył pięknie. Zrozumieją to przyjaciele Marysi i ci wszyscy z ghetta lwowskiego, którzy zawdzięczają Jej życie. I koledzy teatralni. I dzieci z „Przygody" chociaż nie dokończyła im bohaterskiej opowieści.

Wanda Żółkiewska

ZYGMUNT RADEK

„RZEŹ NIEWINIĄTEK" L. PASTERNAKA

Leon Pasternak

BYWAJĄ zawsze w dziejach umysły wolne. Nie poddają się one żadnym truciznom ginących klas i cenią bardziej wolność, prawdę, śmiech szczery wreszcie, niż beznadziejną sytość w cieniu policyjnych pałek. Temperament satyryka i poczucie humoru oto przyczyny, które, sądzę, w poważnej mierze związały Pasternaka w epoce ucisku wolnomyślnych z siłami postępowymi.

Najbardziej chyba interesujące w „Rzezi Niewiniątek"[1]) są wiersze przedwojenne. Pasternak umiał ukazywać sprzeczności wewnętrzne mieszczańskiej moralności na długo przed jej ostatecznym kryzysem. Satyry te naogół pod względem technicznym podobne do satyr Tuwima czy Hemara różnią się od innych nie tyle stylem pełnym zabawnych zestawień słownych czy sensowych (maska balowa jest tam ofiarą dla t. zw. ubogich), rzadziej kalamburów (Fagas Ofi) ile przede wszystkim konsekwentną od lat postawą humanisty.

Zabawny, prawie Boy'owski rym we fraszce „O niemieckich generałach" to dopiero połowa satyry. Dla Pasternaka wiersze nie są igraszką poetycką, ale raczej bardziej sugestywną, mocniej i szerzej oddziaływującą publicystyką:

„Albowiem biada! Po trzykroć tym biada,
Którym satyra jest tylko na śmiech.
Nie czas na igry, gdy już Torquemada
Po czyny sięga szalone".

Drwi wprawdzie z głupoty, mieszczaństwa czy chamstwa jaśnie pana dziedzica, ale przede wszystkim pragnie:

„Pokazać metodę i system,
Gdzie drani przypada dziesięciu od sta".

Ironia Pasternaka czasem jest protestem namiętnym, satyra przestaje być śmieszną, mówi raczej o beznadziejności wyczekiwania na kataklizm wojenny (Toast). Pod nóż satyry ciągnie z iście rzeźnicką pasją „oczy i uszy królewskie" — owych „dwóch w kaszkietach i jednego z brodą w pasku", dla których każdy inteligent jest wrogiem reżimu, pisarz srogim „anty... wangardzistą".

Im bardziej śmieszne są owe wiersze, tym bardziej prawdziwe. Bo czyż ów krwiożerczy komunista z wiersza „Nocą" Gogol czy Puszkin nie są doprawdy niebezpieczni dla „Władzy", Myśl ludzka jako pierwsza siła rozwo-

[1]) „Rzeź Niewiniątek" Sp. Wyd. Czytelnik. 1946, str. 127.

ju zawsze dla wstecznictwa pozostawała niebezpieczną, to też ów policjant, który wiedzie do aresztu Pasternaka, Puszkina, Gorkija i innych członków Kominternu nie jest wcale tępakiem, ale właśnie dzięki swej głupocie chytrym filozofem, Mefistofelesem prawie. „Nocą" to chyba jedna z najlepszych satyr tego tomu.

Czasem drwiny autora są prawie poetyczne. W małym miasteczku „fryzjerzy płaczą na mandolinach, krążą fałszywi Brodzisze i dziewczęta ziewają srebrem plomb".

Dalej mamy tam portret, a raczej preparat wyjęty ze spirytusu p. Szczygielskiego zwolennika „stronnictwa", przytem posiadacza handelku koszerno-musztardowego. Panu Szczygielskiemu nie daje żyć masoneria i żydokomuna, natomiast ratuje go W. C. Pasternak bezlitośnie odsłania korzonki poglądów panów Szczygielskich:

„I dumasz tak korbą kręcąc od rana
I patrzysz: forsa — ojczyzna kochana".

Obrazowanie autora — rzadkie zresztą — przypomina potrosze pełne dziwnej złośliwości obrazy van Gogha:

„Pan dziedzic dziś się wściekł jak jego byk.
Nogi w pałąk i czapka z panamy".

Wiele w tych dawnych wierszach słusznych przewidywań (Toast Zbawcom Narodu), czasem jednak z perspektywy lat pomyłki poety są tragiczne:

„Powiedźcież mi, do tej ojczyzny
Jaka zawiedzie mnie droga?
. . . . . .
„Gdzie więcej masła niż armat".

Nie wieszczu, tu się pan pomylił, bo nawet masła przy wszystkich brakach było, niestety, więcej niż armat.

Fraszki przedwojenne, bardzo różne; od doskonałej i nieledwie aktualnej „Karierowiczom" aż po zupełnie steoretypowe dla owych czasów „Dwie fraszki", czy „Hygiena".

Wiersze wojenne nie wszystkie dorównywują przedwojennym satyrom. Tu widać wyraźnie to, co Tomasz Mann zauważył bodaj w „Toniu Krügerze" — tam mianowicie, gdzie poeta ulega uczuciom zbyt gwałtownym, traci panowanie nad wierszem. Dlatego może „Dowidzenia na Unter den Linden" taki bardzo łatwy, skazany na powodzenie z racji tematu.

Tutaj bezsprzecznie najlepsze satyry to „Pamiętnik Leutenanta Pifke", który ku chwale ojczyzny zginął im Offizierspuff, dalej zabawna „Prasa podaje" czy „Horst Wessel Lied". W wierszach z okresu okupacji Pasternak nie zbacza na patriotyczne ścieżki humoru, ale konsekwentnie odkrywa w psychologicznych źródłach hitleryzmu kołtunerię mieszczaństwa — tym razem niemieckiego.

Obok zręcznych fraszek z okresu okupacji w „Rzezi" znajdujemy satyry na emigrację londyńską, rubensowskie obrazy czy wiersze o tematyce krajowej. W szyderstwach z emigracji politycznej nie ma u Pasternaka nic nowego, który przecież od lat dla owych mafii generalsko-poselskich nie czuł nic prócz pogardy. Wiersze powojenne nastręczają mu nowe trudności. Pisarz, który do tej pory kierował ostrze swej satyry przeciwko wszystkiemu co było praworządne i „legalne jak znaczek w klapie", teraz piętnuje elementy, które znalazły się pod wozem historii. Najłatwiej byłoby po dawnemu drwić z pana ministra, bo każdemu przecież przy dobrych chęciach da się przypiąć łatkę, ale jak mówi:

„Nie sztuka być dziś: anty
Lecz sztuka właśnie być pro".

Nie jest bynajmniej wiernym kontemplatorem rzeczywistości i w tradycji rozprawia się z pozostałościami sanacyjnymi. Szybko znajduje szerszy cel dla swych pocisków. W „Barze kawowym" dokucza inteligencji niepracującej i w „Grunt to rodzinka" odkrywa prawdziwe motywy heroicznej postawy „Żbika z AKA". Przypomina na czasie, że, by zostać demokratą, oprócz czerwonych chorągwi na dachu, trzeba mieć jeszcze przyzwoitą przeszłość.

Pasternak jest od lat pisarzem politycznym. Z gniewem mówi o poecie ponadpartyjnym, pisarzu bez klasowej przynależności, bez sympatii politycznych. Jego poglądy każą mu biczem szyderstw chłostać nie jakiekolwiek prostactwo nizin społecznych, co tak często było u satyryków przed wojną, ale tych, którzy są przyczyną owych braków kulturalnych. Nie ma u niego inteligenckiego odseparowania się od klasy robotniczej.

Książka wydana starannie. Piękne opracowanie graficzne M. Piotrowskiego.

Zygmunt Radek

Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego

Koło Łódzkie

Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego (TMJP) powstało niebawem po powstaniu Niepodległej Polski (Odrodzonej Drugiej Rzeczpospolitej) po pierwszej wojnie światowej — mianowicie w roku 1920.

Celem tego stowarzyszenia jest, jak głosi jego statut: „Krzewić rozumną miłość języka polskiego, opartą na znajomości jego zasad, rozwoiu i znaczenia oraz na zrozumieniu zjawisk językowych w ogóle". Realizuje zaś ten cel Towarzystwo to z jednej strony przez wydawanie organu „Język Polski" oraz wydawnictwo („Biblioteczka TMJP"), przez odczyty, kursy itp., z drugiej zaś — roztaczając opiekę nad sprawnością i rozwojem języka polskiego w użyciu kulturalnym oraz nad nauczaniem języka polskiego w szkołach. Zarząd Główny Towarzystwa znajduje się w Krakowie, tam też znajduje się redakcja „Języka Polskiego". Koła zaś tego Towarzystwa znajdowały się przed wrześniem 1939 r. we wszystkich miastach uniwersyteckich, oraz w niektórych innych m. in. w Łodzi. Kierownictwo kół spoczywało w rękach fachowych.

Z przywróceniem niepodległości po drugiej wojnie światowej, w epoce Trzeciej Rzeczypospolitej, wznowiono również działalność Koła Łódzkiego. Na zebraniu dnia 19.V.1945 roku wybrano zarząd tymczasowy, który ukonstytuował się w ten sposób: przewodniczący dr. H. Ułaszyn, profesor uniwersytetu, sekretarz mgr. M. Pęcherski, profesor gimnazjum, skarbnik mgr. A. Mirkowicz, wizytator; członkowie zarządu: M. Gundlachówna, profesor gimnazjum i mgr. St. Studziński, referent w Wydziale Oświaty Rady Miejskiej. Wkładka członkowska na rok 1945 wynosiła zaledwie 50 zł. rocznie, za którą to kwotę otrzymywali członkowie dwumiesięcznik „Język Polski". Warto przy sposobności zaznaczyć, że było to pierwsze pismo naukowe, które ukazało się po sześcioletniej okupacji.

Pierwszy odczyt publiczny w Kole Łódzkim TMJP wygłosił prof. H. Ułaszyn na temat w prasie podówczas dyskutowany: „O reformie pisowni". Odczyt odbył się w dwóch ciągach: dnia 28. 11. oraz 5. 12. 45 r. Następny odczyt na temat również aktualny odbył się dnia 21. 2. 46 roku, wygłoszony również przez prof. H. Ułaszyna p. t. „Nowości językowe: neorosjanizmy".

Po wszystkich odczytach odbywała się dyskusja.

Po odczycie ostatnim, 21 lutego, odbyło się walne zebranie członków Towarzystwa. Nowy zarząd po ukonstytuowaniu się przedstawia się następująco: przewodniczący profesor Uniwersytetu Łódzkiego dr H. Ułaszyn, zastępca przewodniczącego profesor tegoż Uniwersytetu dr Z. Stieber, sekretarz mgr K. Dobrowolski, profesor gimnazjum, skarbnik M. Gundlachówna, profesor gimnazjum; członkowie zarządu: mgr. K. Dejna, starszy asystent na Uniwersytecie Łódzkim, mgr. St. Studziński, referent Wydziału Oświaty.

W roku 1946 w dalszym ciągu wygłoszono następujące odczyty: prof. Z. Stieber „Archaizacje językowe w literaturze pięknej" (12. 3.), prof. H. Ułaszyn „Garść aktualnych uwag językowych" (16. 4.) oraz „Z dziejów wyrazu „ksiądz" (27. 5) wreszcie ostatni przed wakacjami letnimi: prof. Z. Stieber „Język Wacława Potockiego" (15. 6). Po wakacjach zaś wygłoszono odczyty: prof. H. Ułaszyn „Nieco o terminologii naukowej" (25. 10), prof. Stieber Oryginalność gwary podhalańskiej" (15. 11.), wreszcie prof. H. Ułaszyn „Terminologia świąt Bożego Narodzenia na tle zwyczajów i obrzędów" (w dwóch ciągach 11. i 18. 12. 46).

Projektuje się też własne wydawnictwo. Ponadto Towarzystwo zgodnie ze swym statutem i tradycją służy swą radą wszystkim mającym trudności lub wątpliwości językowe. Zwracać się należy piśmiennie pod adresem: Prof. H. Ułaszyn, Łódź, Uniwersytet, Lindley'a 3.

* * *

Dawno już skreśliłem był powyższe sprawozdanie. Lecz zwyczajem moim leżało sobie w stosie innych artykułów, aż oto zjawiła się pobudka do ogłoszenia go drukiem. — Oto zeszyt marcowy „Myśli Współczesnej" przyniósł artykuł prof. Uniwersytetu Wrocławskiego St. Lorii p. t. „Rola nauki w odbudowie gospodarstwa i kultury", a w nim wyczytałem m. in. co następuje:

„Ważnym zadaniem o charakterze regionalnym byłoby objęcie naukowego kierownictwa w koniecznej akcji ochrony i pielęgnowania języka polskiego. Żyjemy w kraju, który się zaludnia elementem bardzo różnorodnym, napływającym tu z kresów wschodnich, nieraz po dłuższym pobycie poza granicami państwa i miesza z elementem również kresowym, który przez długi okres czasu był pod wpływem obcej kultury i obcego języka. Już dziś stwierdzić można, że ulica, a nawet prasa, posługują się językiem skażonym, że młodzież nie umie poprawnie wyrażać swych myśli, że zanika poczucie poprawności i czystości języka ojczystego. — Czas najwyższy, aby rozpocząć planową energiczną akcję ratowania tego największego skarbu kultury narodowej. — Na margines swej pracy naukowej mogliby nasi humaniści podjąć się tej pracy, pokryć cały kraj kołami przyjaciół języka polskiego (sic! H. U.) i zaopatrzyć je w naukowy materiał instruktorski" (311).

Ze słów tych wynika, że prof. Loria nic nie wie o tym, że w Polsce od 27 lat, więc od przeszło ćwierć wieku, istnieje Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego z licznymi kołami, a w Warszawie istniało od szeregu lat obok tego jeszcze inne ze swoim własnym organem „Poradnik Językowy", pismem wychodzącym od pół wieku!...

Gdzie bawił przez pierwszą połowę wieku XX prof. Loria? Zdaje się, że był profesorem we Lwowie, gdzie właśnie w największej sali Uniwersytetu zainaugurowaliśmy uroczyście Koło Lwowskie TMJP dnia 27 listopada 1920 roku. Po moim przemówieniu w charakterze pierwszego prezesa (pełniłem ten urząd aż do mego wyjazdu w 1922 roku ze Lwowa) wygłosił ciekawy odczyt prof. W. Bruchnalski. Pisma ówczesne lwowskie umieściły odpowiednie artykuły; mego pióra były dwa: w „Gazecie Wieczornej" z dn. 27 listopada 1920 r. oraz w „Gazecie Lwowskiej" z dn. 2 grudnia t. r.

Każde koło corocznie daje conajmniej kilka odczytów; dwa pisma służyły celom, o które prof. Lorii tak bardzo chodzi — i o tym wszystkim on nic nie wie?...

Ale powiadają, że niczemu nie trzeba się dziwić — więc kończę...

Henryk Ułaszyn

Powieść o Anglii powojennej

Powieść Priestley'a „Trzej panowie w cywilu" *) problematyką swoją zbliżona jest do wystawianej obecnie w „Teatrze Kameralnym" sztuki tegoż autora „Miasto w dolinie". Obraz społeczeństwa angielskiego i stosunków panujących w Anglii. Rozkład arystokracji, jej niezdolność do życia — i próby przekształcenia rzeczywistości, próby obalenia zmurszałego systemu.

Marzenie o cudownym „mieście w dolinie", gdzie wszyscy są równi, gdzie wszyscy są szczęśliwi, marzenie o wspólnym domu dla wszystkich ludzi bez względu na kolor skóry.

Joe i Alice z „Miasta w dolinie" rezygnują ze szczęścia i wracają na ziemię, by nieść **wśród ludzi wieść o idealnym mieście, by** tam na ziemi miasto to budować. Trzej panowie w cywilu, rozważając nurtujące ich problemy, dochodzą do wniosku, że jedyną możliwą drogą jest — współpraca wszystkich w budowie wspólnego domu. „Będziemy pracować uczciwie dla społeczeństwa, będziemy wykonywali tę pracę, do której społeczeństwo osądzi, że się nadajemy. Przestaniemy być leniwi i głupi, chciwi i nieczuli. Będziemy starali się pamiętać, że o wiele ważniejsze i bardziej pociągające jest — tworzyć, niżeli posiadać. Zamiast współzawodnictwa — współpraca. Zamiast próżnego gadania — planowanie. Wychodzimy z dziecinnego pokoju — stawiamy pierwsze kroki — podrastamy" (str. 214).

„Wojna się skończyła — no i co dalej?" — **oto pytanie, które stanęło przed nimi.**

Wyrwani przez wojnę ze środowiska, w którym żyli, przewędrowali różne kraje, wiele widzieli i wiele się nauczyli. Wojna przeobraziła ich. Był to dla nich „kurs nauki poglądowej". Przyglądając się temu co się działo w Europie, zrozumieli, że stosunki panujące w Anglii dalej utrzymać się nie dadzą, że formy życia, z którymi dotychczas się godzili, są zmurszałe.

Wracając do kraju byli przekonani, że zaszły tam te same przeobrażenia, co w Europie — zwłaszcza, że propaganda przez cały czas powtarzała im, że tam, na tyłach ludzie się zmienili.

Zastali stosunki niezmienione.

Na fermie, jak przedtem tak i teraz wszyscy „dbają jedynie o to, ażeby w... rodzinie było wszystko jak najlepiej, a reszta ich nic a nic nie obchodzi" (str. 134). To samo sobkostwo, chciwość, egoizm...

A arystokracja? Zasklepiona w sobie, wroga wszelkiemu postępowi, wszelkimi sposobami stara się utrzymać istniejący stan rzeczy.

„Klasa, do której ci wszyscy ludzie należą, stwierdza Strete — ta warstwa społeczna po prostu rozpada się, niszczeje... jako odrębna klasa socjalna nie mają już nic do powiedzenia" (str. 203).

Czują jednak, że grunt usuwa im się spod nóg.

„W głębi duszy — powiada Strete — większość naszych chłopców spodziewa się jakiegoś cudu, spodziewa się, że rozpocznie nowe życie. A jeśli tego nie będzie — wtedy zacznie się wesele... Mogę jeszcze jedno dodać — w ostatnich czasach mówiło się wiele na temat zakończenia poprzedniej wojny... Podobieństwo pomiędzy ludźmi z czasów tej wojny i tamtej jest tylko powierzchowne. Różnica zarysowuje się konkretnie i jest bardzo istotna... Kiedy zrozumieją, że czeka ich rozczarowanie, że ich najskrytsze nadzieje — to, że najskrytsze, jest bardzo ważne — nie zostały zrealizowane, wówczas nasi chłopcy nie ograniczą się tylko do gróźb, jak to było w osiemnastym i dziewiętnastym roku, lecz przejdą do czynu. Stali się bardziej niecierpliwi. I podczas tej wojny widzieli o wiele więcej, niż ich poprzednicy podczas tamtej wojny" (str. 111—112).

Mimo to zastanawiający jest w powieści Priestley'a odmalowany przezeń brak klasowego uświadomienia robotników angielskich. Mówi się o tym, że oczekują oni „cudu" — na czym on jednak ma polegać — nie wiedzą. Głównym kłopotem przedstawiciela klasy robotniczej Eddie Molda, jest to, że żona zdradzała go z Amerykanami. Uświadamia go dopiero Strete — arystokrata. Czytając „Trzech panów w cywilu" można by mniemać, że w kraju w którym osiemdziesiąt przeszło lat temu została założona I Międzynarodówka, proletariat zdany jest na propagandę klas rządzących, które potrafią wmówić weń, że są obrońcami jego interesów. Znamienne pod tym względem mogą być słowa potentata prasowego Darvalda wypowiedziane do Streta:

— „A co się tyczy pańskich chłopców, którzy na coć czekają to sam wiem dobrze czego im potrzeba. Potrzeba im rozrywek... chcą stałej pracy, chcą gwarantowanych zarobków... My mówimy im o tym, czego oni chcą. My prowadzimy wielką kampanię, żeby wydobyć dla nich to, czego oni chcą... Żadnych zamieszek ani niepokojów nie będzie. Niepokoić się będzie tylko ta sama garstka co zwykle. A my możemy dowieść, że ta garstka zagradza drogę chłopcom, którzy zasłużyli sobie na prawo do stałej pracy i godziwych rozrywek" (str. 113—114). Znamy ten język aż nazbyt dobrze.

W ostatnim rozdziale powieści razi nieco zbytni dydaktyzm i szablonowość postaci. Warto ją mimo to przeczytać, jako świadectwo pisarza wnikliwego na kwestie społeczne, dotyczące ważnego wycinka życia dzisiejszej Anglii.

Adam Kotula

*) J. B. Priestley „Trzej panowie w cywilu". Autoryzowany przekład Melanii Wasermanówny. „Książka", 1947. Str. 216.

PRZEGLĄD PRASY

Kronika prasowa, śledząc przeważnie wydarzenia aktualne na łamach tygodników i miesięczników, których w Polsce, pomimo braku papieru powstaje coraz to więcej przy jednoczesnym ograniczaniu ilości kolumn pism już istniejących, nie notuje nieraz pozycji równie może pożytecznych i ważnych, jak te, co ze względu na aktualność znajdują natychmiastowe echa.

Myślę tu o pismach specjalnych, poświęconych plastyce i muzyce. Oba te działy, mimo wysiłków redakcji pism literackich, zawiodły nasze oczekiwania na łamach tygodników. Czasem znajdujemy rzecz prosta w „Odrodzeniu" czy w „Nowinach" ciekawsze artykuły i prace z zakresu plastyki, ale są to przeważnie zawsze rzeczy o większych zaletach literackich niż fachowych. Sprawy muzyczne znajdują miejsce wtedy, gdy są związane z jakimś zagadnieniem zatrącającym o stronę praktyczną życia muzycznego (np. poruszona przez Iwaszkiewicza w „Nowinach" sprawa Instytutu Szopenowskiego). Ani malarstwo, ani muzyka nie są zbyt popularne w Polsce. Znajomość tych gałęzi sztuki jest o wiele bardziej ograniczona niż znajomość spraw literatury. Zresztą bardziej skomplikowany warsztat pracy malarza czy muzyka nie pozwala każdemu wypowiadać się w tych sprawach, jak się to, niestety, często dzieje w sprawach literackich, gdzie kult niekompetencji i nonszalancji wzrasta z dnia na dzień, zwłaszcza w dodatkach literackich do rozmaitych pism codziennych lub w pismach, usiłujących uprawiać szeroko tzw. upowszechnienie kultury. Przy tej okazji metoda wulgaryzacji święci triumfy. Malarstwo i muzyka są w nieco szczęśliwszym położeniu. Zagadnienia obu tych sztuk mniej nadają się do wulgaryzacji, wymagają bowiem większej wiedzy specjalnej. Toteż sprawy plastyki koncentrują się prawie wyłącznie na łamach pism fachowych: „Przeglądu Artystycznego" i „Głosu Plastyków", Muzyką zajmuje się „Ruch Muzyczny".

„Głos Plastyków" jest wydawnictwem Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków. Leży przede mną numer 2 tego czasopisma, jeszcze z grudnia ub. roku. Starannie wydane czasopismo, w porównaniu z „Przeglądem Artystycznym" wydaje się raczej pismem oficjalnym i eklektycznym, co zresztą (w przeciwieństwie do zarzutu, jaki postawił niedawno kronikarzowi pewien tygodnik katolicki) nie wydaje mi się wcale niesłuszne ani szkodliwe. Z ciekawszych pozycji tego obszernego i bogato ilustrowanego zeszytu należy wymienić artykuł Jerzego Wolffa o „Pankiewiczu i Boznańskiej", Felicjana Kowarskiego: „Jak widzę Pankiewicza?", wreszcie niezmiernie pożyteczny przekład Jana Cybisa z Eugeniusza Fromentina: „Mistrzowie czasów minionych" (charakterystyka malarstwa szkoły holenderskiej). Drugą cenną pozycją tego numeru jest przekład Jana Sunderlanda z Baudelaire'a: „Salon 1846". Obie prace — Fromentina i Baudelaire'a, są awangardowymi pozycjami swojego czasu w dziedzinie nowej oceny malarstwa. Żadna z tych prac, jeśli się nie mylę, nigdy w całości nie była przyswojona ubogiej zresztą literaturze plastycznej, jaką posiadamy w języku polskim. Numer zamykają dwa sprawozdania: Potworowskiego z muzeów londyńskich i Gotliba z wystawy Picassa i Matisse'a, urządzonej w Londynie. „Przegląd Artystyczny" (kwiecień — maj) przynosi sprawozdanie z wystawy międzynarodowej sztuki współczesnej, zorganizowanej w Paryżu przez „Unesco". O polskich malarzach w Anglii pisze S. Teisseyre. Interesujący i nowatorski artykuł o „Widzeniu Greków" zamieszcza Władysław Strzemiński, o wystawie Van Gogha (Paryż) znajdujemy niewielką wzmiankę, zato opublikowano tu kilka fragmentów z listów wielkiego malarza do jego brata, Theo oraz trzy reprodukcje. „Przegląd Artystyczny" jest redagowany żywo, po linii interesów prawdziwej sztuki, wobec czego dość bezkompromisowo zwalcza to wszystko, co trąci akademizmem i stęchlizną.

Podobnie redagowany jest „Ruch muzyczny". W numerze kwietniowym znajdujemy artykuł Stefana Kisielewskiego na temat właściwej oceny muzyki narodowej, w którym autor słusznie domaga się, by muzykę polską oceniać trzeźwo, w ramach hierarchii, jaką stosujemy do muzyki europejskiej. Być może — dodam tu od siebie — że twórczość Jana Maklakiewicza lepiej nadaje się do „upowszechnienia" niż Bach, ale to już niewiele ma wspólnego z muzyką. Dlatego dobrze, że „Ruch Muzyczny" broni prawdziwych wartości w muzyce, podobnie jak „Przegląd Artystyczny" broni ich w plastyce.

Nie chcę być źle zrozumiany i dodam, że oczywiście nie twierdzę, by upowszechnienie czy udostępnienie szerokim warstwom konsumentów dzieł muzycznych, plastycznych lub literackich było szkodliwe i obniżało poziom sztuki. Takie twierdzenie jest nonsensem. Rzecz w tym, że słuszna racja upowszechniania sztuki i literatury obiera sobie

najmniej odpowiednie, najbardziej oportunistyczne drogi. Dlatego należy z nznaniem podkreślić działalność tych ośrodków w sztuce, które nie zamykając się bynajmniej w „wieży ze słoniowej kości", skutecznie przeciwstawiają się próbom wulgaryzacji i utrzymując zerwane przez wojnę kontakty ze sztuką na wschodzie i na zachodzie naszego kontynetu, potwierdzają naszą europejką przynależność.

Należy stwierdzić z żalem, że metoda wulgaryzacji rozpowszechnia się dość szeroko. Przykładem tego mógłby służyć artykuł Arnolda Słuckiego na temat egzystencjalizmu, zamieszczony w nr. 1 „Po prostu", studenckiego czasopisma społeczno - literackiego. Pożyteczne to pismo, którego zadaniem będzie skupienie awangardy młodzieży uniwersyteckiej i przedstawienie jej poglądów na sprawy istotne dla młodego pokolenia postępowej inteligencji, niepotrzebnie zamieściło tę pochopną wypowiedź, której cel: ukazanie egzystencjalizmu jako jednej z form pesymistycznego antryreformizmu — jest wprawdzie słuszny, ale tym bardziej wymagałby on użycia innych, bardziej skomplikowanych środków, niż te, którymi posłużył się autor. Kompromitowanie jakiegoś, choćby najbardziej reakcyjnego, prądu filozoficznego nie może odbywać się przy pomocy krzykliwych i nonszalanckich zdań, których autor nie skąpi w swoim artykule. Z interesujących pozycji w nr. 1 nowopowstałego pisma, któremu należy życzyć dalszego pomyślnego rozwoju, trzeba wymienić: Tadeusza Borowskiego: „Dwa opowiadania", Zygmunta Radka „Ballada o narzeczonej", Wiktora Woroszylskiego dobrze napisany reportaż o kursach przygotowawczych uniwersyteckich. Podobnie pozytywnie należy ocenić artykuł informacyjny Marczaka - Oborskiego, o wystawie filmu francuskiego oraz fakt, że redakcja oddaje łamy pisma artykułom dyskusyjnym, czego przykładem jest zamieszczenie artykułu Zygmunta Pióro: „Demokracja planowana". Wywiad Garzteckiej z młodym włoskim malarzem Renato Gutusso byłby również interesujący, gdyby nie pewne akcenty zbytniej młodzieńczości już nie na miejscu w poważnym piśmie studenckim. Artykuł wstępny w numerze pierwszym „Po prostu", zamieścił Stefan Jędrychowski, omawiając w nim działalność dawnego wileńskiego ‚Po prostu'.' Miejmy nadzieję, że nowe pismo okaże się godne swojego patrona tak chlubnie zapisanego w historii walki o postęp

ph.

Koty

Głos robotnika

Z ostrym atakiem na „koła w Ameryce, które sądzą, że mogą zahypnotyzować świat przy pomocy wszechpotężnego dolara" wystąpił w Rothesay na dorocznej konferencji Związku Zawodowego Górników Brytyjskich przewodniczący tego związku — Lawther. Wygłosił on przemówienie do delegatów reprezentujących 715.000 górników angielskich.

Podkreślając, że brytyjska klasa robotnicza widzi dobrze, iż monopoliści amerykańscy usiłują zmiażdżyć amerykańskie związki zawodowe, jak również widzi całą panującą w USA nienawiść rasową, Lawther powiedział, iż naród brytyjski nie da się oszukać głoszonym obecnie w Ameryce sloganem, że wszystko złe, co się dzieje dzisiaj w Stanach Zjednoczonych, dzieje się z winy komunistów. Tak mówił również Hitler, ale im prędzej wszyscy zrozumieją, że idee postępowe nie dadzą się zniszczyć nawet za pomocą posiadania bomby atomowej — tym lepiej będzie dla wszystkich — oświadczył przywódca górników. Zaznaczył on, że niektórzy Amerykanie nienawidzą brytyjskiej partii socjalistycznej równie silnie, jak Związku Sowieckiego.

Lawther potępił plotki o możliwości wojny atomowej, stwierdzając, że „żaden górnik brytyjski, ani inny uświadomiony robotnik nie będzie produkował jakichkolwiek materiałów na podobną wojnę, a czym prędzej zrozumieją to podżegacze wojenni — tym będzie lepiej".

„Wielka Brytania — podkreślił następnie Lawther — winna dać przykład i ogłosić pierwsza swój stanowczy zamiar trwania u boku Związku Sowieckiego i innych miłujących pokój narodów, gdziekolwiek one są. Jakże gigantyczne zasoby możemy mieć wszyscy, gdyby zostały one połączone razem dla ogólnego dobra. Jakże wielkich i szczerych sojuszników posiadamy w milionach robotników i chłopów Związku Sowieckiego i w całej Europie, gdybyśmy tylko mogli się połączyć razem!"

Nawołując do szerokiej międzynarodowej współpracy gospodarczej na nowych zasadach — Lawther wysunął projekt zastosowania nowej formy lend - lease tym razem w celu wygrania pokoju, jak kiedyś dla wygrania wojny. Wspominając o pożyczce amerykańskiej, Lawther zażądał, ażeby pożyczka ta realizowana była obecnie na podstawie jawnych cen, jakie istniały w czasie podpisywania warunków pożyczki lecz przed zniesieniem przez rząd amerykański kontroli cen. „Naród brytyjski—dodał . przywódca górników — nie ma zamiaru poświęcić obecnie wszystkiego tego, co stracił w walce z Hitlerem, ażeby usiąść u stóp jakiejś nowej oligarchii finansowej".

bs.

Także jestem wyborcą

Na ostatniej stroniczce 26 numeru „Tygodnika Powszechnego" tutejszy Zoil bardzo surowo i bezapelacyjnie ocenił literaturę współczesną w Polsce i sąd o niej Aleksandra Wata. Tutejszy Zoil żałuje, że wybierał Wata na członka Zarządu ZZLP. Ja także byłem jego wyborcą. I nie żałuję! Aleksander Wat słusznie i rozsądnie powiedział w przemówieniu na Zjazd PEN - Clubów drukowanym w „Odrodzeniu": „Nigdy jeszcze, śmiem to twierdzić, literatura nasza nie była tak żywiołowo wielostronną, nie miała takiej mozaiki światopoglądów i form literackich..."

Z ironicznych deklamacyj tutejszego Zoila wynika natomiast, że nic podobnego: literatura współczesna w Polsce jest szara, martwa, uboga, omal nie istnieje. Zoil zauważył z literatów polskich tylko Kocwę. Dosłownie.

Tutejszy Zoil myli się.

Już miałem sposobność pisać, że śledzący czasopiśmiennictwo literackie angielskie, francuskie i rosyjskie, a w miarę możności i ruch literacki tych krajów musi przyznać, że na całym świecie przeżywamy okres, w którym nie ma rewelacyj literackich typu Majakowskiego czy Apollinaire'a.

To też w porównaniu do reszty świata literatura nasze jest i wielostronna i urozmaicona i bogata. W porównaniu natomiast nie tylko do świata, ale do naszych sąsiadów, choćby uboższych w ludność Czech, mamy katastrofalny niedobór pracowników kultury. Literatura nasza, jej poziom i smak wytrzymuje wszelkie porównania. Ale brak nam tłumaczy, wszelkiego typu dostawców — nie twórczości — ale towaru kulturalnego. Brak pośredników informatorów, recenzentów. Brak wszystkich czynnych uczestników normalnego życia literackiego — poza samymi twórcami i biernymi czytelnikami.

Ale również poza ocenami porównawczymi — literatura nasza odpowiada raczej charakterystyce Wata, aniżeli tutejszego Zoila. Z krakowskiej perspektywy nie tylko nie widać Polski na tle świata, ale i obraz samej Polski jest zamazany, jak z za brudnych szybek mieszczańskiego salonu, przesłoniętych szarą, nudną, listopadową mgłą wiecznych krakowskich zaduszek.

Wat, przygotowując przemówienie dla słuchaczy zagranicznych, użył określeń napewno nie zawsze adekwatnych, zaledwie przybliżonych, ale zrozumiałych dla cudzoziemców. Stąd mowa np. o egzystencjonaliźmie. Ale doskonałego przedstawiciela — w pełni świadomego — tego kierunku mamy od 1921 r. w Romanie Ingardenie. A elementy egzystencjalistycznej koncepcji literackiej dałoby się wskazać choćby w tak znakomitych artystycznie realizacjach jak u Zawieyskiego.

Ostatnie lata są tym charakterystyczne, że pisane ze szczególną pasją i dużą świadomością teoretyczną szukają treści ideowych, wiążą swoją twórczość z określonymi systemami światopoglądowymi. Tutejszy Zoil mógłby dostrzec uboczny produkt tych zainteresowań choćby w kardynalnej zmianie problematyki naszych czasopism literackich. Przecież pisma te roją się od filozoficznych rozważań. Często literatów. Jakże inaczej było anno 1939 w „Wiadomościach Literackich". Ktoby się ośmielił drukować w „Wiadomościach" kobyły najeżone terminami filozoficznymi, od których uginają się „Tygodniki Powszechne" i „Kuźnice"? Kiedy to dawniej w piśmie tygodniowym można było czytać ks. Michalskiego lub prof. Chałasińskiego? Chyba nawet w krakowskiej redakcji tutejszego Zoila widać, że ostre i wielokierunkowe zróżnicowanie ideologiczne — a w literaturze tym samym i stylistyczne — jest właśnie cechą naszego okresu! Z tego fermentu wyrosła i tak właśnie intelektualnie bogata i ciekawa powieść Stefana Kisielewskiego. Ale co o niej wie tutejszy Zoil!

A uraziły go w artykule Wata i inne twierdzenia.

Otóż istotnie sytuacja materialna pisarzy w Polsce nie jest dobra — ale, przyznajmy wbrew Zoilowi, nigdy dotąd debiutanci nie byli otoczeni taką opieką, zainteresowaniem, życzliwością, jak dzisiaj. Czy u Grydzewskiego zajmowano się tak młodymi jak w „Odrodzeniu", „Kuźnicy" i „Tygodnikach Warszawskim i Powszechnym"? (Nie mówiąc o „Odrze", „Dziś i Jutro" czy „Świetle", które robią sami młodzi z hojnej ręki różnych starych).

Piszących jest w Polsce — powtarzam — za mało dla zorganizowania normalnego życia literackiego. Trzeba werbować i szybko szkolić nowe pióra. Ale to co jest — jest żywe i różnorodne. Często, bardzo często ciekawsze niż w innych bogatszych kulturalnych krajach.

Wat miał się czym chwalić w Zurychu. To przyzna nawet byle uważny czytelnik zagranicznych pism literackich.

żłk.

Tymon Ateńczyk

Jak wiadomo ukazujące się od wielu miesięcy w Londynie emigracyjne „Wiadomości" coraz rzadziej uprawiają ideologiczną dyskusję z postępową prasą w kraju, coraz częściej natomiast schodzą do roli rewolwerowego brukowca literackiego, które pozwala sobie fałszować i przeinaczać fakty, naginając je do chorobliwej wyobraźni kilkunastu zakamieniałych „nienawistników" rzeczywistości historycznej. Do nich, muszę to stwierdzić z przykrością, gdyż cenię sobie wielce Jego przedwojenną działalność kulturalną, należy p. Theates (Tymon Terlecki — pozwalam sobie na rozszyfrowanie pseudonimu wbrew moim własnym zasadom, lecz czynię to dlatego, że p. Theates, nie uznając widocznie tego zwyczaju, sam rozszyfrował mój inicjał na łamach swojej kroniki). P. Theates oburzył się niesłychanie na to co napisałem o ilości prasy katolickiej w Polsce, która przewyższa

swoją liczebnością stan ilościowy postępowej prasy laickiej i zadał mi w nr. 26 „Wiadomości" machiavelskie pytanie: a ileż to dzienników katolickich wychodzi w Polsce? Pomijając fakt, iż p. Theates przenosi całą rzecz na płaszczyznę prasy codziennej, podczas gdy ja pisałem tylko o prasie periodycznej, gotów jestem odpowiedzieć na jego podstępne pytanie, choć pisząc o periodykach katolickich nie oczekiwałem, że p. Theates odezwie się aż z Londynu niby przysłowiowe nożyce. Otóż, proszę Drogiego Pana, w Polsce, poza mnóstwem pism i pisemek wydawanych przez najrozmaitsze instytucje duchowne ukazują się również katolickie pisma świeckie codzienne: „Słowo Powszechne", wszystkie dzienniki wydawane przez Stronnictwo Pracy („Ilustrowany Kurier Polski") i jak sądzę, codzienna prasa Polskiego Stronnictwa Ludowego. Pozatem informuję Pana, że jak mnie i Panu wiadomo, w prasie wychodzącej w Polsce, która jest krajem katolickim, pisują oczywiście katolicy. Ale nawet jeśli mi Pan uwierzy, to ten argument nie zdoła Pana przekonać. Pan chciałby zobaczyć znowu „Mały Dziennik", „Warszawski Dziennik Narodowy" etc. Nie znaczy to, iż uważam Pana za sympatyka ideologii tych pism. Poprostu, gdyby je Pan zobaczył, uwierzyłby Pan, że Polska jest krajem demokratycznym, prawda? Panu nie wystarczy „Rycerz Niepokalanej" i pięćdziesiąt innych wulgaryzujących sprawy wiary pisemek. Choć nosi Pan greckie imię Tymona, nie jest Pan Grekiem. Pan tylko Greka udaje!

ph.

Chochlik w roli wieszcza

We wstępie do „Dziadów" w wydaniu „Książki" czytamy:

„Niewyszukane rymy Mickiewiczowskie — w przeciwieństwie do rymów Słowackiego — służą temu samemu prawu: niech żaden szczegół wykonania nie zamąci czystości wewnętrznej wieszcza!"

Oczywiście, ma być wiersza, nie wieszcza, lecz chochlik drukarski zjawił się tym razem w płaszczu romantycznym wieszcza.

Nie ma w tym nic dziwnego. Długa tradycja „wieszcza" zrobiła swoje, wtargnęła także do słownictwa pracowników drukarskich. Jest to nie ich wina, lecz wina romantycznej frazeologii, pokutującej w naszych monografiach literackich.

Mała rzecz, a ile w niej treści: cała epoka mitologii polonistycznej.

m. j.

Dwie i pół godziny refleksji w kinie „Tęcza"

Normalne spektakle w kinach trwają około dwóch godzin razem z dodatkami. Letni sezon tegoroczny upalny i bezdeszczowy kieruje ludzi raczej do parków i ogrodów, niż do kin. To też tłumy ludzi wystających w ogonkach przed „Tęczą" i „Stylowym", oraz zapowiedziany na afiszach dwu i pół godzinny czas trwania filmu „Wesoły Pensjonat" zmusza do optymistycznych przypuszczeń: dobry film. Idzie się więc do „Tęczy" czy „Stylowego" i przez dwie godziny, jakie pozostają po odliczenia czasu na dodatki, patrzy się na rzeczy straszne. Tak straszne, że przypominają się najgorsze tradycje „Grajdołków" i tych wszystkich ponurych brecht rodzinnych, z którymi podjął się walczyć Film Polski. Wstęp na „Wesoły Pensjonat" mają wszyscy, którzy ukończyli szesnaście lat, to też sala nabita młodzieżą, tą właśnie, na którą liczymy, że za pięć lat ona poprowadzi polskie życie kulturalne, tą jednocześnie, która jeszcze podlega kształceniu i wychowaniu. Film jest podobno jednym z czynników tego kształcenia i wychowania, dlatego młodzież ucząca się ma znaczne zniżki na bilety kinowe.

Czym że się karmi tę młodzież przez dwie godziny w kinie „Tęcza" i „Stylowy"? Fałszywymi obrazami świata, ludzi i stosunków. Bo, na całe szczęśce, nieprawdą jest, że na kuli ziemskiej nie ma nic, prócz bardzo brzydkich i rozebranych dziewcząt, żyjących w „wesołych pensjonatach" o charakterze zwykłych domów publicznych. Marynarka wojenna nie koniecznie służy do wzrostu populacji i to nie jest jedyny jej sens istnienia. Więzienie nie zawsze jest operetką z qui pro quo i happy endem. Ludzie oprócz zajmowania się sprawami poniżej pasa, gdzieś śpią, coś jedzą, pozostają w jakimś stosunku do rzeczywistości i z tego powodu pracują i myślą. O tym wszystkim zapomnieli zupełnie szwedzcy realizatorzy tego filmu jak również i ktoś z Polskiego Filmu, kto zakwalifikował „Wesoły Pensjonat" do wyświetlania na polskich ekranach.

Czego uczy przez dwie godziny film „Wesoły Pepsjonat"? Systematycznie, metodycznie i skrupulatnie uczy chamstwa. Chamstwa we wszystkich dziedzinach stosunku człowieka do człowieka. Nagromadzenie elementów wychowawczych w tym kiernku jest wyjątkowo wszechstronne. Zaczyna się od fabuły i płynie dwie godziny po przez działogi po przez stroje, dekoracje, tańce ku ruchowi X, gestowi, mimice. W tym filmie, w którym rozpoznanie dziewczyny przez młodego chłopca odbywa się przy pomocy wielokrotnego zaglądania jej za dekolt podczas omdlenia, w którym kopie się tancerkę poniżej krzyża, w którym jedyna pokazana opiekunka młodej dziewczyny zachowuje się tak, jakby całe życie była prostytutką i strzęczycielką, a wychowawczyni szkolna jest pełną obłudy i chytrości wyzyskiwaczką, biorącą udział w najidiotyczniejszych ekstrawagacjach swoich wychowanek dla ratowania zagrożonych dochodów, w filmie tym rewiowe wygibasy w powłóczystych sukniach straszą i duszą jak zmora, humor komika zamienia się w ordynarną piłę, on zaś sam w człowieka, którego pragnie się zabić. I już od tej chwili instykty mordercze nie opuszczają widza, który zna choćby tylko dwa francuskie filmy i ceni je

sobie. Niestety polski przeciętny widz nie zna francuskich filmów, a nawet jeżeli je zna, to ich sobie nie ceni, dlatego, podczas gdy na ekranie dokonywuje się mordu na wartościach nieśmiertelnych jak sens i wdzięk, sala trzęsie się z radości, wyraża najwyższy entuzjazm, a gdy się wychodzi po skończonym seansie, szesnastoletni chłopiec, przyszły budowniczy kultury mówi do swej szesnastoletniej towarzyszki „Piąty raz patrzyłem na ten obraz i nie mogę się dość napatrzeć. Cudo!".

A przecież się mówi o wychowywaniu nowego widza na dobrym filmie. O potrzebie podawania młodzieży dzieł o niewątpliwej wartości. O kształceniu producenta i odbiorcy kultury. Na czym? Na „Wesołym Pensjonace"? Przez dwie godziny? Można. Ale skutki nie każą na siebie długo czekać. Oby ograniczały się do kopnięcia poniżej krzyża kogoś, kto puścił ten film na polskie ekrany, bo to by prócz chamstwa była i zasługa.

W. Z.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpalte 40 zł.
D—015670 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.